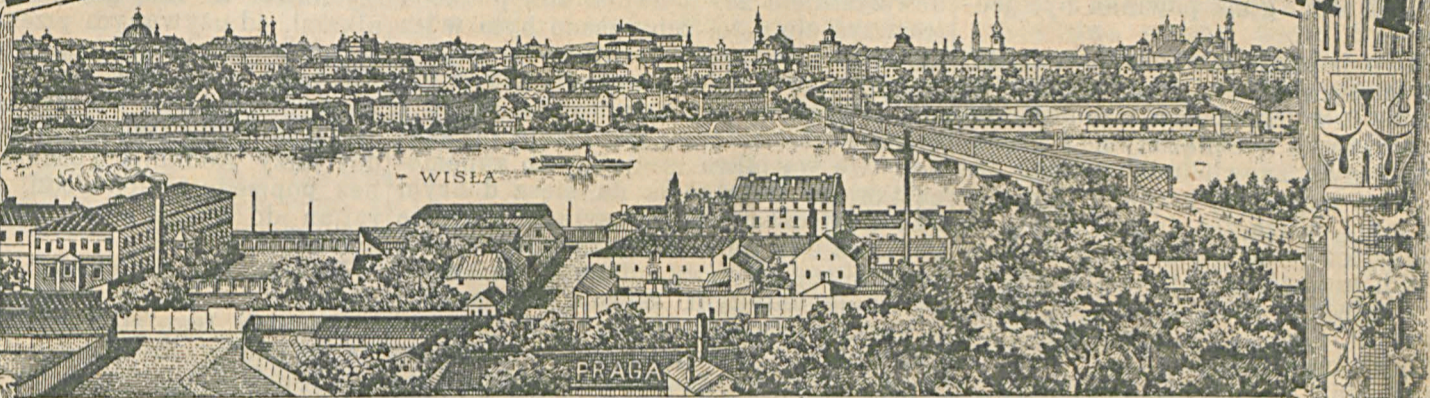


# GAZETA ŚWIĄTECZNA

WARSZAWA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

## Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku	1 r. i 50 k.
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzedei Kżyży (gdzie kościół Św. Aleksandra), 8.

Gazeta pojedynczo kosztuje 5 k., a z przesyłką 7 k.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

## Duchy światła, a duchy ciemności.

Duch, jak to duch, nie ma ciała, nie ma zwykle postaci widzialnej dla oczu, ani dotykanej dla rąk. Nie ma głowy, ani rąk, ani nóg, ani skrzydeł. A jednak chodzi, lata i działa na ludzi.

Duch bywa dobry, Boży, który daje ludziom dobre myśli, natchnienie, kieruje ich ku dobrym czynom. Ludzie wyobrażają go nieraz w postaci anioła. Bywa też i duch zły, nieprzyjaciel, przeciwnik, szkodnik i niszczytel wszystkiego, co dobre, wróg światła, jasności, oświaty prawdziwej, prostoty i prawdy.

### Czemu jest złe na świecie.

Dziwnym się może człowiekowi wydawać, że dobroć, sprawiedliwość i wszechmoc Boża pozwala istnieć na świecie złemu, i nawet złym duchom, że pozwala im wyządać spustoszenia w rzeczach dobrych, w uczciwych sprawach. Ale pomyślimy: gdyby nie było na świecie złego, to nie wiedziałby człowiek i o tym, co jest dobre. Wszystko byłoby wtedy dla niego obojętne, ani złe, ani dobre. Tak samo bez nocy nie byłoby dnia, bez zimy — lata; gdybyś nie czuł zimna, nie znałbyś też, co ciepłe. Musi więc być na świecie i złe, skoro jest dobre. Muszą być i złe duchy. A człowiek ma rozum i wolę na to, żeby sam starał się odróżnić złe od dobrego, i żeby sam sobie wybierał jedno albo drugie, żeby z własnej woli służył temu lub owemu.

Gdyby tylko z dobrem i z dobremi duchami człowiek się spotykał, a złe nie groziło mu, to nie mógłby mieć żadnej zasługi, nie miałby nawet nic dobrego do roboty, czyny jego i postęпки nie byłyby ani złe, ani też dobre. I życie człowieka byłoby nijakie, bez wartości, znałyby tyle, co życie zwierzęcia. Nicby nas nie pobudzało do dbałości, do staranności o dobro, do strzeżenia, żeby dobrym sprawom szkoda, a ludziom i dobrym tworum Bożym krzywda się nie stała. Nie wysilałaby się dobra wola

ludzka, żeby złego się strzedz i zwalczać, a dobrego się trzymać, do dobrego dążyć. Nie byłoby powodu do odpięrania złego, do walki ze złem, a do bronienia i wzmagania tego, co dobre. Nie mieliby ludzie pobudki do czynów dobrych, do czuwania nad sobą i swoją gromadą; pograżyliby się w bezczynności i próżnych zabawach dla zabicia czasu; zgnusieliby. A taki stan, takie życie, nie są dla człowieka nietylko dobre, ale nawet prawdziwa dobroć w nich nie jest możliwa. Bezczynność, lub pograżenie się w samych zabawach i przyjemnościach, próżniactwo i zgnuszenie, wszystko to już nietylko nie jest dobre, i nawet nie jest nijakie, ale wprost staje się złem, jest złem.

Zwierzęta nie rozumiejące tak, jak człowiek rozumie, nie pojmujące, co jest złe, a co dobre, kłócą się ze sobą, biją się lub gryzą, żrą się, jedno krzywdzi drugie, nienawidzą się nawzajem. To samo jest i z ludźmi żyjącymi po zwierzęcemu, zapominającymi o tym, lub nie chcącymi wiedzieć, co złe, a co dobre. Tacy ludzie nietylko dobrej woli nie mają i dobrze nie czynią, ale złe popełniają.

Jednym słowem, choć złe jest złem, i walczyć z nim trzeba, ale jest konieczne. Bez złego dobre by się nie utrzymało. Dobre na tym świecie tym stoi, że dobra wola trzyma ludzi w czujności przeciwko złemu, w pracy i walce, że chroni ich od zgnuszenia i zwierzęcości. Musi więc być na świecie i złe.

Otóż i złe duchy dlatego po świecie się kręcą, chodzą, latają, wciskają się i wślizgują między ludzi i w różne ludzkie sprawy.

### Złe duchy.

Zły duch ugania się za ludźmi, łapie kogo może. Kto zaś pokonać go, odegnąć lub nie dopuścić do siebie nie chce, lub nie ma siły, czyj własny duch lichy, komu rozum albo serce nie dopisuje, ten się złemu poddaje. Zły duch go chwytą w swe niewiedzialne objęcia, ogarnia, przenika, i kiekuje nim, rządzi, wyzyskuje go, czyni z niego nietylko sługę swego, ale niewolnika. Zły duch

opanowuje czasem człowieka wprost bezpośrednio; częściej jednak za pośrednictwem innych ludzi, z którymi ten człowiek przestaje, na których czyny i postęпки patrzy, albo których słucha, gdy mówią, lub czyta gdy coś napisali.

Nie ten zły duch najbardziej straszny i prawdziwie groźny, nie ten do zguby prowadzi, co jawnie w postaci djabła czy to na obrazie malowanym, czy w wyobraźni ludzkiej się przedstawia; ale ten, który niewidzialnie między ludzi się wieska, ogarnia ich, przenika; a szczególnie ten, który podejściem, chytremi zabiegami i zdradą stara się nas opanowywać, który występuje pod pozorem człowieka, ludzkiego przymiłowaniem się lub dobrocią pozorną, choć nadzwyczajną, który nam pożytki obiecuje, albo nawet niemal anielski wygląd przybiera i pozyskawszy w ten sposób wiarę, że wskazuje ludziom jedyną drogę do uszczęśliwienia, naprawdę broji i potem ludzi gubi.

Ludzie też przez złego ducha owładnięci, jemu służący, nie zawsze i nie wszyscy są źli. Mogą to być ludzie naogół dobzy, uczciwi, tylko w części przez złego ducha opanowani, i ze wszystkich przykazań Bożych przeciwko jednemu tylko może grzeszący; mogą to być ludzie dobzy, zdolni i z najlepszymi dziećmi, chcący innym czynić dobrze, ale mimo to w pewnym kierunku zbyt łatwowierni lub lekkomyślni, więc dali się złemu duchowi owładnąć, i to robią, co on im każe, nie wiedząc czasem nawet o tym, że nie dobrej sprawie, nie Bogu, nie ludzkości i ojczyźnie, ale złemu duchowi służą, że do złego, do nieszczęść i upadku reszty bliźnich prowadzą lub popychają.

Złe nienawidzi dobrego. To jawnie, to pokryjemu, to podstępnie złe sprzeciwia się wszystkiemu, co dobre. Występuje więc nawet i przeciwko przykazaniom Bożym, raz przeciw jednemu, kiedyin-dziej przeciwko innemu, a nieraz i przeciwko wszystkim. Nie cierpi złe i przykazania miłości bliźniego. Nie chce, żeby człowiek człowieka prawdziwie miłował, kochał, żeby jeden drugiemu dobrze życzył, i żeby wszyscy żyjąc zgodnie, w pokoju, nawzajem się wspomagali, na-



wzajem sobie uczciwie służyli. Zły duch stara się wyrwać z serc ludzkich dobre uczucie miłości, życzliwości, a zasiewać w nich podłą nienawiść. Z jego to poduszczenia jedni drugich udreżają, ciemiężą, ranią, zabijają, okradają, jedni drugim wyrządzają szkody, krzywdy, zadają cierpienia. Za jego to sprawą bywa niezgoda i wzajemne żarcie się między ludźmi tam, gdzie powinna być jedność.

Zły duch jednych nakłania do tego, żeby byli niesprawiedliwi i krzywdzili bliźnich, i żeby w ten sposób wzbudzali do siebie nienawiść ciemiężonych i krzywdzonych. Innym znowu ludziom, choć nawet żadnej naprawdy krzywdy nie czują, nie mają, tenże zły duch wmawia, że im wielka krzywda się dzieje, i wytwarza w nich niechęć, nienawiść niesprawiedliwą względem tych, którzy im wcale nie zawinili, albo nawet i względem takich, którzy czynili dobrze.

Nieraz silny nadużywa swęj sily, obraca ją na trzymanie za łeb, duszenie i krzywdzenie słabszych; niejedyn bogacz niedba wcale o uboższych, nadyma się pychą, jak pęcherz powietrzem, uważa siebie za coś lepszego, a bliźnich ma w pogardzie. Nie wszyscy jednak, co mają sily, popełniają nadużycia; nie wszyscy też bogacze pyszną się. Inny zaś, choć nie bogacz, przez taką pychę chce koniecznie wznieść się ponad ludzi, przewodzić im. I oto wcale nie dla dobra i pożytku ludzkiego, jedynie dla dogodzenia swojej ukrytej zachciance, swojej pychy, a może jeszcze i z chciwości utajonej, może dla jakich korzyści własnych, stara się ludzi sobie zjednywać. Więc zwodzi ich pozorami, udawaniem dobroci nadzwyczajnej, różnymi obietnicami, a jednocześnie podszywa ich do nienawiści i występowania przeciwko innym ludziom, wmawiając, że to ich przeciwnicy, wrogowie, ciemiężyciele.

Są ludzie, przez których zły duch szczyje czeladź przeciwko gospodarzowi za to tylko, że jest gospodarzem; uboższego przeciw majątniejszemu za to, że ma więcej, że może mniej przejadał i przepijał, a więcej pracował i oszczędzał. Z tych samych przyczyn szczyją przeciwko sobie ludzi różnej wiary, to znów różnego pochodzenia, to różnych zawodów, to młodszych na starszych, niekiedy nawet syna na ojca, brata na brata. Gdy zaś ani majątność, ani pochodzenie, ani starszeństwo, ani zawód różnicy nie stanowią, to dzieli ludzi na różne partje, i dopiero jedne na drugie szczyje. A wtedy nienawiść jednych dla drugich dochodzi aż do tego, że niewinnych, ba, uczciwych ludzi, przesładują, dreżają, nawet wprost zabijają.

### Kto teraz chce bezroboci nazwanych przez anglików strajkami, komu one potrzebne i na co?

Obok nienawiści partyjnych, do mnożenia takich zbrodni przyczyniają się jeszcze bezrobocia umyślnie urządzone. Mnóstwo było w roku ubiegłym bezroboci fabrycznych. Jaki będzie ich skutek, to dopiero przyszłość pokaże. Dziś widzimy tylko, że jednym robotnikom placę powiększono, ale za to inni pozostają bez żadnego zarobku, z czegoż żyć potrzebne i samo życie zdrożało. Co zaś najbardziej razi każdego, to to, że nigdy jeszcze nie było w kraju naszym tyłu rabunków, napadów zbójckich, gwałtów na bezbronych ludziach i zbrodni, zabójstw, co dziś, po owych bezrobociach.

Teraz, na wiosnę, ludzie w tym samym duchu, co przy bezrobociach fabrycznych, działający, chcą urządzić i zapowiadają powszechne jakoby w kraju bezrobocie czeladzi rolniczej, gospodarskiej. Ma ono niby służyć do poprawienia bytu tej czeladzi. Jeśli o to naprawdę idzie, to któżby nie życzył, żeby wszystkim na roli pracującym jak najlepiej się działo. Przedewszystkiem zaś i najbardziej potrzeba troszczyć się o to, żeby jasno było w ich głowach, a porządnie i zdrowo w zajmowanych przez nich mieszkaniach i w życiu. Pożądana też jest i płaca dobra, i żywność dostateczna, jeśli gdzie jej skąpo. Ale wątpliwa rzecz, czy to zapomocą takiego bezrobocia da się to dobrym skutkiem osiągnąć. Na razie tu i ówdzie poprawa nastąpi, ale czy na długo? Dla prawdziwej poprawy nie nagłych bezroboci, ale dłuższych, powolnych starań i zabiegów potrzeba. Tu nie przymus, ale dobra wola i rozsądek działać powinny; a gdzie ich brak, tam społeczeństwo i sąsiedztwo niech je szczypi, dobrzy ludzie niech rozum oświecają, a serca i dobrą wolę budzą.

Bezrobocie zaś rolne powszechne, i to zwłaszcza w obecnym położeniu, grozi klęskami dla ludu, i dla gospodarstw, i dla społeczeństwa naszego. Choćby je chciano jak najspokojniej przeprowadzać, to któż może zaręczyć, że obejdzie się bez krwi, bez gwałtów, bez gromadnych nawet nieszczęść. Czy też wskutek niego nie nastąpiłoby i po wsiach takie samo rozwielenienie się zbójnictwa, rabusioństwa i kradzieży, jakie dzieją się teraz po miastach i w okolicach fabryk. Byłby to straszny upadek moralny, najgorsza klęska naszego ludu po wsiach, największa dla ludu nędza i bieda.

A jaki skutek dla rolnictwa, i dla ludu fabrycznego, i dla miast? Powszechne bezrobocie wiosenne gdyby się odbyło, może spowodować opóźnienie w siewach i innych robotach pilnych, a potem nieurodzaj i podrożenie znowu wielu niezbędnych do życia, do wyżywienia się rzeczy. W każdym razie od bezrobocia tego dużo gospodarstw mocno by ucierpiało. A że wiele z nich i dziś ledwo dyje, więc bezrobocie pewnością przyczyni się do podupadnięcia, lub zupełnego ich upadku. A z upadkiem gospodarstw, pogorsza się byt ludzi w nich pracujących i zmniejszają się ich zarobki. Więc jakaż byłaby poprawa ich losu?

A miasta, fabryki i robotnicy fabryczni co na tym zyskają? To, że utracą mnóstwo odbiorców swych wyrobów, których przecie najwięcej idzie do wiosek i dworów. Uszczyplą się więc zarobki rzemieślników, fabryk i robotników. Jednym słowem, szkoda oczywista dla wszystkich.

### Siew nienawiści i błędnego nabożniostwa.

Co najsmutniejsza! Brojący obecnie u nas duch pychy, niezgody i nienawiści dotarł aż do Kościoła i duchowieństwa, a przez nie znowu cząstką ludu owdłana. Pewna niewiasta w Płocku, niejaka Feliksa Kozłowska, utrzymująca tam z matką swoją od lat kilkunastu szwalnię ubrań kościelnych, utworzyła stowarzyszenie religijne pod nazwą marjawitów i marjawitek, mające niby służyć ku niestającej cz. Najświętszego Sakramentu i Najświętszej Marji w obrazie zwanym „Nieustająca Pomoc”. Opowiedziała ona kilku młodym księżom jakieś swoje wi-

dzenia i słowa jakoby wypowiedziane do niej przez Pana Jezusa; a księża ci jej uwierzyli, uznali ją samą za świętą i niepokalaną, na równi z Matką Boską, poddali się jej władzy i spełniają podane przez nią przepisy. Wciągnęli też do swego stowarzyszenia kilkudziesięciu innych młodych księży, tak, że liczba ich w kraju wynosi teraz podobno około 50, czy nawet 70. Lud przezwał ich mankietnikami, od używanych przez nich jakoby czarnych mankietów czyli zarekawków. Nie jedzą oni mięsa, za posługi religijne wynagrodzenia nie wyznaczają, przyjmują, co czyja łaska, udzielają przy każdej mszy Komunii każdemu, kto chce, bez poprzedniej spowiedzi, i wielu parafjan do swego stowarzyszenia powpisywali.

Biskup jednak płocki, jeszcze ś. p. Szembek, a potem biskup Wnukowski nie uznali tego stowarzyszenia za ważne, widząc w niem nie prawdziwą, głęboką pobożność, pełnienie woli Bożej, tylko błędne nabożniostwo, prowadzące uwiedzionych ludzi na bezdroża. Znaleźli w niem nawet pewne przepisy i zasady sprzeczne z nauką wiary katolickiej, stanowiące schizmę czyli odszczępienie od Kościoła, herezję, i zalecili księżom marjawitom zerwanie znajomości z p. Kozłowską, do czego też oni zobowiązali się piśmiennie. Następnie jednak ciż księża marjawici oskarżali przed ludem w swych parafjach biskupów i naszych księży katolickich wogóle, nie szczedząc żadnych przeciwo nim zarzutów. Tym sposobem w lud ich pracy duchownej powierzony wpajali mniemanie, że tylko oni, marjawici, są dobrymi kapłanami. Podobną też skargę na nasze duchowieństwo kazali podpisywać swoim parafjanom i posłali do Rzymu. Ale i tam słusznosci im nie przyznano, a widzenia Kozłowskiej uznano albo za nieprawdziwe, albo za skutek tylko jakiejś choroby.

Po takim rozstrzygnięciu sprawy arcybiskup warszawski i biskupi tych diecezji, gdzie są marjawici, zabronili im aż do czasu poprawy i powrotu do posłuszeństwa pełnić obowiązki kapłańskie, na ich zaś miejsca wyznaczili innych księży. Ale mało marjawitów uległo. Większa ich część — albo nie chciała ze swych posad ustąpić, i nastroszyła lud tak, że stojąc po ich stronie postanowił nie wpuszczać do kościołów innych księży, ani nawet biskupa, — albo pouządzała sobie kaplice po wsiach, i tam odprawiają msze, słuchając spowiedzi, dają śluby, co wszystko jest wobec Kościoła uważane za nieważne. Wystąpili nadto marjawici z podaniami do rządu, żeby miał ich w swojej opiece na zasadzie zeszlorzecznego prawa o swobodzie wiary, i żeby metryki parafjalne kazal pisać wójtom. Doszło więc prawie do zupełnego odszczępienia od Kościoła katolickiego tych kilkudziesięciu zawieszonych w kapłaństwie księży i uwiedzonej przez nich części ludu naszego. Księża ci obrali za najstarszego między sobą ks. Jana Kowalskiego w Sobótce pod Łęczycą. Mimo to wszystko jednak wystąpili oni jeszcze raz z podaniem do Rzymu i oczekują ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy przez samego Papieża.

W oczekiwaniu, co Ojciec Święty orzeknie, wstrzymujemy się od wypowiadania uwag, jakie nam się nasuwają. Ubolewamy mocno, że do czegoś podobnego w naszym narodzie, i to w tych czasach, dojść mogło. *Pisarz Gaz. Świąt.*



## NOWINY.

**„Marjawici“ w Petersburgu.** Gazety rosyjskie donoszą, że do Petersburga przybyła gromadka wyśłańców od marjawitów, mężczyzn i kobiet, i robi starania, żeby rząd uznał marjawitów jako osobną sektę odłączoną od Kościoła rzymsko-katolickiego, i że starania te rząd przyjął zyczliwie.

**Wyśłańcy marjawitów w Rzymie.** Gazeta „Słowo“ podaje, jako wiarogodną, następującą wiadomość. „W dniu 20 lutego bawiący w Rzymie ksiądz Jan Kowalski, obrany za przełożonego przez tak zwanych marjawitów, i towarzyszy jego, ks. Roman Próchniewski, stawieni byli przez ojca Pijusa Langonia, kapucyna, przed oblicze Ojca Św. Ks. Kowalski w pierwszych słowach okazał tak zarozumiałe przekonanie, że słodki zawsze, dobrotliwy Papiież, Pijus Dziesiąty, zgromił go. Wtedy obaj wyśłańcy marjawitów rzucili się do nóg Ojca Św. i łkając, ze łzami, poczęli błagać o przebaczenie i miłosierdzie. Przyrzekli, że poddadzą się biskupom, zgrzeszenie naprawią i lud zbałamucony napowrót do jedności z Kościołem doprowadzą. Papiież wzruszony ich skrucą przyrzekł przebaczyć, a na drogę pokuty i upamięntania pobłogosławił obu. Wprost od Ojca Św. obaj wyśłańcy udali się do urzędu kościelnego „Św. Oficjum“ i tam napisali, iż uznają wyrok na nich tamże wydany dnia 2 września 1904 roku. Przytęm zobowiązali się poddać zupełnie biskupom, odwołać głoszone przez siebie błędy, i lud obałamucony do jedności kościelnej doprowadzić.“

### Postępniki opętańców w Strykowie.

Jednym z miejsc, gdzie ludność została owładnięta przez „marjawitów“ czyli mankietników jest miasteczko Stryków, położone między miastami Łowiczem a Żgierzem i Łodzią, na północnym końcu gubernji piotrkowskiej, a to za sprawą byłego wikariusza Pagowskiego. Ksiądz ten został pozbawiony prawa pełnienia czynności kapłańskich, ale mimo to z kościoła nie ustępuje i z namówionym przez siebie ludem stawia dotąd jawny i stanowczy opór swojej władzy kościelnej. Proboszczem w Strykowie mianowany teraz został ksiądz Wieczorek. Polecono mu też w zeszłą niedzielę, 11 marca, objąć zarząd kościoła i parafji. Jakoż pojechał on tam dnia owego. Zgromadziło się w miasteczku dużo wiernych katolików z okolicy, aby wprowadzić nowego proboszcza do kościoła. Przybyła też z miasta Łódź gromadka pobożnych tercjarzy, aby zapewnić bezpieczeństwo księdzu, gdyby kto posunął się do jakich wybryków przeciw niemu. Proboszcz na czele całego tłumu wiernych udał się ku kościołowi. Ale kościół i wejście do niego było zapełnione przez sekciarzy mankietników, których znowu obecny tam także ks. Pagowski do oporu zachęcał i zagrzewał. Mankietnicy więc nie wpuszczili przybyłych. Proboszcz widząc, iż wejście trzeba zdobyć przebojem, i że z powodu opętania tego ludu, zawziętość jego mogłaby doprowadzić do bójki i znieważenia domu Bożego, odszedł i odjechał ze Strykowa. W miasteczku tymczasem ktoś, niewiadomo dotąd kto mianowicie, naprawdę bójkę rozpoczął. Ktoś wystrzelił, widocznie umyślnie na to, aby poznać jednych braci przeciw drugim. Było to jakby hasło. Odchodzący od rozumu i do szału doprowadzeni mankietnicy rzucili się na katolików,

waląc w nich kijami. Napadnięci, nie przygotowani wcale do bójki, rozbiegli się we wszystkie strony, a kilkunastu tercjarzy łódzkich, podążających już w swoją stronę, schroniło się do herbaciarni stojącej przy szosie łódzkiej. Mankietnicy pędzili, aby ich dognać, i otoczywszy herbaciarnię zaczęli się do niej dobijać. Ponieważ wejście zostało wewnątrz zatarasowane, tłum nie mogąc drzwi otworzyć, sprowadził sikawkę i począł lać do herbaciarni wodę. Mankietnicy zaś należący do założonej niedawno straży ogniorowej weszli na dach, porabali go, i tą drogą dostawszy się do herbaciarni, rzucili się jak najgorsi zbójce na tercjarzy. Co się tam działo, można domyślać się tylko ze skutku i śladów pozostałych. Oto z dwunastu ludzi, tercjarzy łódzkich tam ukrytych, pięciu w najokrutniejszy sposób zabito, a siedmiu ciężko poraniono, i z tych dwaj wkrótce zmarli. Zabici są: Adam Adamski lat 28, Wawrzyniec Urbański lat 33, Franciszek Binek lat 23, Stanisław Pawłowski lat 23, Franciszek Górski, i dwaj jeszcze nierozpoznani. Okropność! Któżby mógł przypuścić, że nauka tych, którzy przewalili się imieniem „Marjawita“, czyli żyjącymi Marją, doprowadzi uwiedzionych przez nich ludzi aż do takich strasznych, haniebnych, kainowych zbrodni? Że uczniowie zawzięcie ich słuchający aż tak z niej egzamin złożyli! Zły duch, bojąc się zapowiedzi lepszych dni dla Kościoła i narodu naszego, wiedział znać, gdzie wstąpić, dokąd trafić, jakich nazędzi użyć, żeby jak największe waśni i rozłam w narodzie nastąpiły, żeby brat bratu nie dowierzał, brat brata nienawidził, stał się wilkiem i zabijał.

Opisana zbrodnia nie jest, niestety, jedyną. We środę znów, 14 marca, było coś podobnego z takiego samego powodu i w takich samych okolicznościach w Lesznie, parafji wiejskiej pod Warszawą, o czém podamy za tydzień.

**Pzerwa niektórych poczt w przesyłaniu pieniędzy.** Z rozkazu ministra od wewnętrznych spraw państwa znowu wiele poczt w gubernjach warszawskiej, kaliskiej, kieleckiej, piotrkowskiej, płockiej i radomskiej przestało przyjmować pieniądze do przesyłania. Kto więc z przedpłatników naszych w okolicach takich poczt Gazety jeszcze na drugie ćwierćroczce nie opłacił, niech zamawia ją nadal tymczasem listownie. Należność będzie mógł odesłać albo przez kogoś jadącego do Warszawy, albo, jeśli w niewielkiej ilości, to w markach pocztowych świeżych przysyłanych w liście rekomendowanym, czyli zabezpieczonym od zagubienia na poczcie.

### Z Marjińska na Syberji.

Bóg zapłać wszystkim, którzy poślepsi z ofiarami na nasz kościół. Zarówno ten dom Boży, jako też i plebańja nietylko są gotowe, ale już zaopatrzone we wszystkie niezbędne sprzęty kościelne. Stosunkowo najwlecej nam dopomogli żołnierze biedacy jadący na wojnę. Zachwycali oni nas, sybiraków, swoją pobożnością. Z każdego oddziału żołnierze Polacy i Litwini śpieszyli do naszego podówczas jeszcze niekończonego kościoła, aby zmówić pacierz i zaśpiewać: „Pod Twoją Obronę“. Niedawno ksiądz proboszcz w Tomsku otrzymał 32 ruble na nasz kościół. Złożyli je żołnierze Polacy i kilku Rosjan z 9-go bataljonu saperów, wyczytawszy w Gazecie Świątecznej o potrzebach nowowzniesionego ko-

ścioła w Marjińsku. (Wzmianka o tej ofierze była też w Gazecie.) Panie Boże zapłać Wam stokrotnie, wszyscy zacni ofiarodawcy. Prośbę waszą spełniliśmy; msza św. została odprawiona na intencję rychłego i szczęśliwego powrotu waszego do rodzin waszych. List pisany d. 14 listopada z powodu bezrobocia pocztowego otrzymałem dopiero w styczniu. Żołnierze Polaków z okręgu warszawskiego, którzy powracając z wojny ofiarowali do naszego kościoła dwa obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, zawiadamiamy, że przez wdzięczność za tę ofiarę odprawiona tu została na ich intencję msza św. w sam dzień Nowego Roku. *Ksiądz J. Demikis.*  
Syndyk kościoła *Antoni Kontrymowicz.*

### Z puszczy Kurpiowskiej piszą do nas:

W gminie Dylewie niewiadomo z kąd powstała myśl, aby zmniejszyć wywóz drzewa na sprzedaż za granicę. Najprzód zaczęły gromady naradzać się po wsiach, żeby nie wynajmować furmanek żydom i wogóle kupcom handlującym drzewem. Następnie na zgromadzeniach dorocznych w gminach gospodarze mówili o tej sprawie. Ruch w handlu drzewem ustał. Żydzi próbują szczęścia, płacą gospodarzom zgóry, byle tylko jechali. Niektórzy zgodzili się. Ale śmiałkowicie zastąpili im drogę, więc zmuszeni byli złożyć drzewo tam, gdzie ich zatrzymano. Teraz drzewo stoi w działkach. Robotnicy, którzy corok je obrabiali, narzekają, że nie mogą zarabiać, chociaż i pieniądze już wzięli na wyrób. W dniu 2-im stycznia na wiec do Dylewa przyjechało 4 kupców, obiecując zapłacić, żeby tylko nie uchwalano takiej przeszkody w handlu drzewem. Wójt zgodziłby się na to, nawet pięknie przemawiał do zgromadzonych, żeby w tym roku jeszcze wywieźć, a już na rok przyszły starać się o poprawę w tej rzeczy. Ale gospodarze nie zgodzili się, wyzucając wójtowi, że się dał podejść handlarzom. Na 30 stycznia wójt zwołał sołtysów na naradę. Przybyli ci sami żydzi, ale i tym razem odjechali z niczém. Wójt liczył na to, że mu się uda to zmienić. Ale się omylił. Gospodarze nasi doszli do przekonania, że wywóz drzewa ich rujnuje. Handlarz kupując drzewo na wywóz, zostawia dla włościan tylko odpadki wystarczające na opał, ale do poprawy budowli niemożna drzewa kupić. Dziś drożej kosztuje pobudować wiejską chałupę, niż w mieście dom z kamienia i cegły. Gospodarze, uważani za opokę, na której spoczywa fundament całego ustroju państwa i życie wszystkich ludzi, ten kmiecy lud czyż może nie troszczyć się o to, że go handlarze wywożący drzewo za granicę pozbawiają dobrego dachu nad głową? Wiemy, jakie były sosny, jakie lasy za naszych dziadków; na miejscu budowano domy; a dziś niejedna biada, że musi mieszkać w zgnitłej chacie, bo niema z czego nowęj pobudować.

*Czytelnik.*

**Wyrab lasów.** Tymczasowy gubernator wojenny na gubernję łomżyńską zagroził karą do 3 tysięcy rubli wszystkim gminom i miasteczkom, w których obrobie zdarzy się samowolny wyrab, zabór, albo zniszczenie lasów rządowych lub „publicznych“, albo gdzie przeszkodzą rąbać i wywozić drzewo osobom, które mają do tego prawo.

**Wyjaśnienie w sprawie druków urzędowych.** Niektóre urzędy powiatowe domagają się, żeby księgi i druki gminne by-



ły sprowadzane koniecznie z drukarni gubernialnej, chociaż nieraz są tam znacznie droższe. Otóż teraz w numerze 16-ym gazety urzędowej „Russkoje Gosudarstwo“ podano następujące wyjaśnienie senatu:

„Urząd gubernialny nie ma prawa wymagać, żeby biura rządowe brały potrzebne druki wyłącznie z drukarni gubernialnej, gdyż prawo drukarniom tym nie nadaje takiego przywileju.“

Jeśli biura rządowe mają prawo sprowadzać druki dla siebie, z kąd chcą, to prawo to témbardziej służy urzędom gminnym.

**W sprawie wynagrodzeń za spalone budynki.** W tych dniach główny urząd od zabezpieczania budynków w Królestwie Polskim na wypadki pożarów ogłosił, że w gminach, w których nie wszyscy gospodarze popłacą dobrowolnie składki ogniowe, nie będzie nikomu wypłacane wynagrodzenie za szkody od ognia. Rozporządzenie to jednak sprzeciwia się prawu Najwyżej zatwierdzonemu dnia 10 czerwca roku 1900. Podług tego prawa właściciel spalonego a zabezpieczonego przez urząd budynku traci prawo do wynagrodzenia *tylko* w następujących razach: 1) jeżeli pożar powstał po wydaniu przez urząd właściwy polecenia, żeby budynek rozebrano; 2) jeżeli spalony budynek był zabezpieczony nie tylko przez rząd, ale jeszcze w jakimkolwiek towarzystwie od ubezpieczeń, a to natąką sumę, że ogólne zabezpieczenie budynku było wyższe od jego wartości oznaczonej w rządowym zabezpieczeniu; 3) jeżeli budynek został spalony przez właściciela umyślnie; 4) jeżeli będzie do wiadomości sądowej, że właściciel podał umyślnie fałszywe wiadomości, aby uzyskać wyższe wynagrodzenie; 5) jeżeli w ciągu pół roku od pożaru właściciel nie zawiadomił zarządu od zabezpieczeń, jaką poniósł stratę; wreszcie 6) jeżeli pożar wynikał wskutek działań wojennych. Tylko w tych wypadkach zarząd „wzajemnego“ zabezpieczania budynków od ognia ma prawo i może odmówić wydania wynagrodzenia za spalone budynki. Jeśli kto nie płacił gdzieś składek ogniowych, to urzędy zabezpieczające mogą go ścigać sądowo, ale nie może za to odpowiadać ktoś całkiem inny, co popłacił akuratnie wszystkie należne od niego składki. Właściciele budynków mogą w razie potrzeby swych praw do wynagrodzenia dochodzić sądowo. Jeśli komu spalił się budynek, a odmówią mu wynagrodzenia dlatego, że ktoś w gminie składki ogniowej jeszcze nie zapłacił, to należy głównemu zarządowi od zabezpieczeń wytoczyć sprawę sądową. Do tego potrzebny jednak będzie adwokat przysięgły.

**Szkoły polskie w gubernji grodzieńskiej.** Po wielu wsiach i miasteczkach w gubernji grodzieńskiej, zwłaszcza w powiatach białostockim i sokólskim, po ogłoszeniu manifestu z dnia 30 października zakładano w listopadzie wiele szkółek początkowych, w których nauka wykładana jest po polsku. Gazeta „Warszawska Dniownik“ pisze, iż na zapytanie władzy powiatowej generał-gubernator wileński nakazał wszystkie te szkółki pozamykać. Strażnicy policyjni jeżdżą więc teraz po wsiach, rozpędzają dzieci zbierające się na naukę czytania i pisania po polsku, odbierają elementarze i książki, a w zagrodach rodziców spisują dobytek, grożąc karami.

Z małej chmurki wielki deszcz. We wsi

Dubaśnie w powiecie sokólskim, gubernji grodzieńskiej, jednego z ostatnich dni lutego szło drogą dwóch małych chłopców uczących się w szkole czytać, jeden po polsku, a drugi po rosyjsku. Zaczęli się sprzezać między sobą, który z tych języków lepszy, aż jeden wyrwał z rąk drugiego książki, rzucił je i podeptał. Właściciel tych książek poskarżył się matce, a ta sprowadziła do wsi „uradnika“ czyli strażnika policyjnego z Nowego-Dworu. Ten zgromadziwszy mieszkańców Dubaśny miał do nich stosowną przemowę, w której podobno powiedział coś obraźliwego o wieżę katolickiej i mowie polskiej. Włościanom tak się to nie podobało, że rzucili się na niego, aż musiał co prędzej z tej wsi wyjechać. Naza jutrz przyjechał tam znowu, ale nie sam jeden, bo z dziewięciu uzbrojonymi w karabiny młodszymi strażnikami i zabrał ze wsi 12 mężczyzn i 6 kobiet do kozy.

**W Rakowie, miasteczku w okolicy Mińska litewskiego, jest szkoła początkowa, a w niej z liczby 80 dzieci przeszło 60 katolickich i polskich. Na mocy rozporządzenia biskupa książę nakazał tym dzieciom, żeby przed nauką i po nauce odmawiały zawsze pacierz po polsku. Tak było też kilka tygodni. Lecz jednego razu, gdy dzieci zaczęły się modlić, przerwał im nauczyciel i zapowiedział, żeby nie ważyły się na przyszłość modlić się na głos w szkole po polsku. Zdziwieni chłopcy odezwali się, że książę im pozwolił. Nauczyciel zawołał na to z wielkim gniewem: „Ja tu gospodarz, a nie książę“ — i kilku śmielszych chłopców za tłumaczenie się wpakował do kozy. Na drugi dzień przyszło do nauczyciela kilku ojców i stanowczo zażądali przywrócenia w szkole modlitwy, gdyż sam ukaz Najwyższy z dnia 30 kwietnia roku zeszłego na to pozwala. Nauczyciel zmiękł i zgodził się nie przeszkadzać uczniom w jej odmawianiu.**

**Z Mohylewa na Podolu, nad Dniestrem, piszą do nas:**

Staraniem księdza proboszcza Hołubckiego odbyła się tu przed miesiącem wstępna narada założycieli katolickiego towarzystwa dobroczynności. Oprócz kilku właścicieli ziemskich i kilkunastu osób różnych zawodów, reszta, około półtora sta osób, byli to dzierżawcy gruntów miejskich, posiadacze domów, drobniejsi przemysłowcy, handlarze i rzemieślnicy. Po krótkiej przemowie, ksiądz Hołubcki zaprosił hr. Lubińskiego do przewodniczenia, a sam usunął się pomiędzy zebranych. Hrabia zaprosił do pomocy panów: Krasowskiego, Łaskiego, prezydenta miasta, i Bednarskiego, nauczyciela języka polskiego w szkole handlowej, otwartą tu w roku ubiegłym. P. Krasowski odczytał ustawę Towarzystwa, która, niestety, przedstawiona była do zatwierdzenia jeszcze przed manifestem z 30 (17) października, z konieczności więc bardzo szczerą zakreśliła działalność; jednak byle sił i poparcia nie zabrakło, zakres ten da się obecnie rozszerzyć. Przewodniczący wyraziwszy radość, że po długim mroku zajaśniała na koniec jutrzienka lepszej przyszłości, wykazał, że obowiązkiem jest naszym nie tylko dbać o ciało tych, którym chcemy przyjść z pomocą, ale powinniśmy też ducha ich pielegnować. Od lat wielu nie mieliśmy prawa naradzać się gromadnie nad sprawami najbardziej niecierpiącymi zwłoki; świat postępował, ale naród nasz był w odrętwieniu, martwo. Oświata była dotąd prawie niedostępna dla ludzi

mniej zamożnych. Teraz spólnymi siłami możemy i powinniśmy ją uprzystępnąć. Mówca zachęcał, aby Towarzystwo postępowało według słów naszego wieszczki: „Ciałom wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim myśli z nieba“. — Oprócz osób, które już przedtem zapisały się były, do Towarzystwa przystąpiło tego wieczora 100 osób. Nakoniec wybrano 12 członków zarządu, 4 zastępców, 5 członków rady sprawdzającej. Szczęść Boże ludziom dobrej woli!

W. S.

**Pierwsze wybory pełnomocników gminnych, mających być prawyborcami do sejmu państwowego, odbyły się w piątek 9 marca we wszystkich podobno gminach gubernji lubelskiej. W powiecie lubelskim wybrani zostali: w Chodlu — Piotr Rola z Chodla i Andrzej Gajowiak z Trzcianca, w Bychawie — Szymon Grudzień z Bychawy i Stanisław Godoś z Woli-Gałęzowskiej, w Jastkowie — Julian Turski z Płaszowic i Ignacy Kowalczyk z Tomaszowic, w Wólce — Józef Opajdowski z Turki i Wiktor Tkaczyk ze Świdnika, w Niedzwicy — Antoni Czachorowski z Bozechowa (siedzi w więzieniu) i Franciszek Mędykowski z Niedzwicy-Maléj, w Mełgwi — Dominik Michalczyk z Mełgwi i Antoni Burtnik z Trzeszkowic, w Zemborzycach — Jan Jachacz z Zemborzyc i Michał Samborski z Wilczopola, w Jaszczowie — Jan Borowiec z Jaszczowa i Wawrzyniec Pasieczny z Łysołaj, w Wojciechowie — Andrzej Mirosław z Wojciechowa i Aleksander Kawlak z Maszek, w Piaskach — Franciszek Kotliński z Piask i Kazimierz Siuda z Kozic-Górnych, w Piotrkowie — Andrzej Tyńiecki z Piotrkowa i Antoni Tataara z Czerniejowa, w Kzczonowie — Mateusz Żagiel z Kzczonowa i Jan Dygula z Kosarzewa. W Niemcach w pow. lubartowskim wybrano Michała Jabłońskiego z Woli-Niemieckiej i Stanisława Supryna z Dysa.**

**W Grabowie nad Pilicą w gubernji radomskiej spłonął do szczeru ostatniej nocy lutego kościół parafjalny.**

**Ospa.** W gminie Dolecku pod Skierniewicami w gubernji warszawskiej szerzy się ospa bardzo złośliwa. Nietylko młodzież, ale i ludzie w starszym już wieku na nią chorują, i wielu umiera. J. G.

**Karty w podróży.** Pewien mieszkaniec Kielc, jadąc koleją żelazną do Warszawy, dał się namówić jakimś karciarzom do gry w karty i przegrał 603 ruble, które stanowiły cały jego majątek. Ktoś z jadących ostrzegał podróżnego, żeby nie grał, nic to jednak nie pomogło. Oszuki-karciarze obrabowali go tak haniebnie, a wysiadając na jakiejś stacji jeszcze pobili ciężko ostrzegającego. — Są całe bandy takich łotrów. Nic oni więcej nie robią, tylko jeżdżą w kilku razem kolejami, rozmaicie poubierani, jeden za żydą, drugi za gospodarza, trzeci za pana, i niby to nie znając się ze sobą, siadają opodal jeden od drugiego. Jeden wyciąga karty i zaprasza do gry. Drugi z bandy zaczyna z nim grać i wygrywa. To zachęca innych jadących a głupich, więc dają się też do gry namówić, nie miarkując, jakie w niej jest oszustwo, i w ten sposób są zawsze okradani.

**Tak robią uczciwi.** Dnia 3 marca pewna kobieta, idąc ulicą Krakowską-Przedmieściem w Warszawie, zgubiła woreczek zawierający około 70 rubli. Nie wiedząc o tém idzie dalej, aż tu zatrzymuje ją jakiś człowiek w ubogiej odzieży robotniczej i pyta, czy nie zgubiła



czego. Potem spytał, jaki miała woreczek i ile w nim pieniędzy, a sprawdzwszy, że trafił dobrze, oddaje zgubę uradowanej kobiecie. Chciała go zaraz wynagrodzić, ale nie przyjął żadnego datku i odszedł, nie powiedziawszy nawet, kto jest.

**Niegodziwa kobieta.** Józef Pawłowski, kowal ze wsi Parchocina w Stopnickim, musiał, jako żołnierz zapasowy, pożegnać młodą żonę i dwoje małych dzieci, iść na daleką wojnę, do Mandżurji. Kobieta była przystojna, a co najgorsza, płochą. Przyszły pokusy, nie oparła się im i puściła się na bezdroże. Zmówiwszy, się z gachem swoim, młokosem, po sprzedawała co mogła,—krowy, wieprze, zboże ze śpichrza, wyrobiła sobie paszport zagraniczny, i zabrawszy pieniądze i pościel, odbiegła nocą dzieci śpiących w kołysce. Przytysnęła niebożatka słomą i tak je bez litości porzuciła. Odjechała podobno do Ameryki. Gorzej uczyniła niż suka, bo i suka szczeniąt by nie odeszła. Mąż nie zginął na wojnie, przysłał nawet przed sześciu tygodniami 50 rubli. Jakiż będzie powrót biedaka!

P. M.

**Za udział w bezrobociu kolejowym** pod koniec ubiegłego roku usunięto w tych dniach z posad na drogach żelaznych przezwanym nadwiślańskimi 141 urzędników biur, telegrafistów, maszynistów, konduktorów, dróżników, rzemieślników i t. d.; w tej liczbie 131 Polaków i 10 Rossjan.

**Naczelnik dróg żelaznych wykupionych** przez rząd i oddanych pod jeden zarząd z koleją Nadwiślańską, Iwanow, został w dniu 24 lutego, gdy szedł jedną z ulic w Warszawie, napadnięty i strzalanym rewolwerów zabity.

**Naczelnik powiatu łaskiego.** W sobotę 10 marca dwaj jacyś ludzie dali 6 strzałów z rewolweru do naczelnika powiatu łaskiego, Iwanowa, gdy wyjeżdżał dorózką z Pabjanic do Łaska. 5 kul trafiło Iwanowa w głowę, a jedna zraniła dorózkacza. Iwanow niedługo zmarł.

**Strzelanina w Warszawie.** W sobotę 10 marca wieczorem podzielono wszystko wojsko trzymane w Warszawie na małe oddziały, po kilku ludzi, i rozesłano pod dowództwem policjantów po wszystkich ulicach miasta. Żołnierze zatrzymywali wszystkich przechodniów i puszczali tylko tych, którzy mieli przy sobie i okazali na żądanie paszporty. Kto paszportu nie miał, odsyłano go do urzędu policyjnego. Żołnierze sprawdzali też, czy przechodnie nie mają rewolwerów lub innej broni. Na jednej z ulic Pragi 5-ciu żołnierzy z dwoma policjantami zatrzymało między innymi dwóch ludzi, którzy zamiast paszportów wydobyli rewolwery, zabili strzałami obu policjantów i zaczęli umykać. Któryś z żołnierzy strzelił za nimi i jednego położył trupem; był to 20-letni robotnik Antoni Gorczyński. Podczas tego strzelania jedna kula rewolwerowa zabiła przypadkiem idącego ulicą Jana Babińczyka, ubożego wyrobniaka, po którym pozostała żona z czworgiem dzieci. W dwie godziny po tym wypadku z fabryki „Wulkan“ na Prądze wychodzili robotnicy do domu. Jeden z nich, niejaki Cywiński, zobaczywszy, że na ulicy żołnierze zatrzymują ludzi, zaczął uciekać w przeciwną stronę. Wtedy jeden żołnierz strzelił za nim, i, trafiwszy w głowę, położył trupem na miejscu. Tymczasem innym żołnierzom zdawało się,

widać, że to ktoś do nich strzela, więc dalej strzelać i kłuć bagnietami napotykanych ludzi. 47-letni robotnik, Antoni Bzuz, został śmiertelnie raniony. Razem z tym umierającym przywieziono do szpitala jeszcze czterech ciężko ranionych robotników.

**Napad na urząd gminny.** W sobotę 3 marca wieczorem ze 20-tu jakichś ludzi, uzbrojonych w rewolwery i noże, napadło na urząd gminny w Wólce w powiecie lubelskim. Wtargnąwszy do urzędu przez okno, porabiali tam szafy i stoły, szukając pieniędzy. Stróż gminny, Józef Krakowiak, nadbiegł usłyszawszy hałas, ale wnet otoczono go i jeden z rabusiów przyłożył mu rewolwer do głowy grożąc, że strzeli, jeśli ten się ruszy. Napastnicy zaczęli już rozbijać kasę żelazną, ale musieli umykać, bo ktoś tymczasem zawiadomił wieś i włościanie, uzbrojwszy się, w co kto miał, biegli już na ratunek. Napastnicy zabrali znalezione w jednym ze stołów 90 rubli i kilkadziesiąt druczków na paszporty.

**Napady i spustoszenia.** „Warszawskaj Dniownik“ pisze, że w ciągu roku zeszłego zabito w gubernji radomskiej 2-eh wyższych urzędników policyjnych, 4 strażników i 1 komisarza od spraw włościańskich, raniono zaś 2 wyższych policjantów i 13 strażników. Spustoszone w ciągu tegoż czasu 36 urzędów gminnych, 10 szkół początkowych, 4 sądy gminne, 26 szynków rządowych, 7 urzędów pocztowych, 3 stacje kolejowe, 1 kasę, 4 leśniczówki, a nadto zniszczono 4 mosty kolejowe, wskutek czego znowu rozbił się jeden pociąg. Najwięcej takich napadów było w powiatach: opatowskim, łuskim i koneckim.

**W Nieświeżu.** „Warszawskaj Dniownik“ donosi, że dnia 28 lutego skradziono w Nieświeżu, w gub. mińskiej, ze składu broni 120-go bataljonu wojska zapasowego, przy pomocy zapewne stojącego na warcie żołnierza, Abrahama Drukera, który z chwilą tej kradzieży znikł, 200 karabinów, 20 skrzynek z nabojami i 16 skrzynek z tatkami do nabojów.

**Wyroki.** Dnia 9 lutego skazano w Wilnie na powieszenie Jankla Krótkiego za rzucenie buchadła do policmajstra, wskutek czego padł zabity pomocnik naczelnika powiatu osmiańskiego Jemieljanow, a kilku urzędników policyjnych zostało ranionych. Na taką samą śmierć skazano dnia 26 lutego również w Wilnie włościanina Michała Jakunowicza za targnięcie się w dniu 3 listopada roku zeszłego na życie starszego policjanta. Tegoż dnia 26 lutego sąd wojenny w Warszawie skazał na karę śmierci braci Jana i Franciszka Czekalskich, oskarżonych o to, że usiłowali zabić dnia 3 stycznia strażnika Hierosimienkę w Będzinie, a Marcina Ziernickiego za zabicie w dniu 5 stycznia strażnika Kozłowa w Zawierciu. W Mińsku litewskim skazano na śmierć w pierwszych dniach marca Borucha Oksenbruka za targnięcie się na życie policmajstra, a studenta Pulechowa i pannę Izmajłowiczównę, córkę generała, za zamach na życie gubernatora Kurlowa; tym jednak karę śmierci zamieniono na ciężkie roboty.

**Ojciec i synowie.** Nic innego, tylko chyba kara Boska spadła na rodzinę Koniarków we wsi Wiskitnie w powiecie brzezińskim, gub. płotrkowski. Donoszą z tamąd, że we czwartek 8 marca 19-letni Jan Koniarek, pokłóciwszy się z ojcem

swoim, Wojciechem, tak się rozżarł, że aż podniósł nań rękę: machnął cepem i palnął ojca w głowę tak mocno, że ten padł trupem na miejscu. Starszy brat, Józef, widząc to, porwał kosę i ciął nią brata po szyji. Przekonawszy się po chwili, że zabił brata, poszedł do stodoły i sam się powiesił.

**Rozszarpana przez psy.** W poniedziałek 26 lutego szła wieczorem drogą do miasta Warki nad Pilicą kilkunastoletnia dziewczyna. Przechodząc koło dworu w Winarach, skręciła z drogi w pole, bo obawiała się strasznych psów dworskich, które o tej porze były już spuszczone na noc. Ale jej to nie uratowało, niestety. Psy zwęszyły obcego, dopędziły dziewczynę i zagryzły ją na śmierć, a ciało poszarpały na kawałki i żarły. Były to psy wilczego rodu, mieszańcy. Właściciel je zastrelił.

**We wsi Wyróżbach** pod Sokołowem, w gubernji siedleckiej, zewził się na pogawędkę: skarbnik kasy gminnej, pisarz gminny i strażnik. Zabawiali się długo, przyczem pisarz gminny wypił za dużo. Wtém skarbnik powiada: — Kupiłem sztelbę, ale gilzy nie chcą w nią dobrze wchodzić. Co z nią robić? — A pisarz na to: — Proszę mi pokazać. — Skarbnik podaje mu sztelbę, a on wsadza gilzę do lufy i pcha z całej siły. Wtém rozlega się strzał. Nabój trafia skarbnika w kieszeń u kamizelki, w której miał woreczek z pieniędzmi, i wbija mu pieniądze w piersi, kalecząc śmiertelnie. Nieborak umarł na tzeci dzień. Pozostawił młodą żonę i kilkoro dzieci.

A. M.

**„Na wiwat“.** We wsi Białej pod Wieluniem w gubernji kaliskiej odbywało się wesele. Kiedy państwo młodzi z orszakiem wyjeżdżali do kościoła, jeden z družbów wystąpił z rewolweru na wiwat. Ale zamiast w górę, w powietrze, strzelił nieogłędnie przed siebie i zranił śmiertelnie swego brata, chłopca siedemnastoletniego. Nieborak runął z woza na ziemię. Nie dawał znaku życia, ale go oocili i zawieźli do szpitala w Wieluniu. Tam jednak na czwarty dzień umarł. Kulę znaleziono pod czaską w tyle głowy.

Czytelnik.

**Napad zbójcki.** Na dwór w Łopienniku Łackim pod Krasnymstawem, w gubernji lubelskiej, napadła nocą na 8 lutego banda zbójców. Gospodaza nie było w domu, tylko służba dworska. Zbójce zaczęli się dobijać do mieszkania kuchacza, a na zapytanie, kto stuka, odpowiedzieli, że posłaniec z telegrafu z depeszą do pana. Kuchacz otwiera, a tu trzech zbójców zucha się na niego z nożami i zadają mu rany w twarz, ręce, szyję i plecy. Żona kuchacza chciała wyskoczyć przez okno, ale jeden z napastników dopada i dwa ją trzy razy nożem w plecy, aż płuca popębiają. Kobieta zwała się na ziemię zdołała jednak narobić takiego wżasku, że zelać się pobudziła i zaczęła wybiegać na dwór. To spłoszyło napastników. Uciekli nie zdoławszy się obłowić. Oboje poranieni byli ledwo żywi. Doktor, którego prędko sprowadzono, opatrzył ich i kazał odwieźć do szpitala.

J. K.

**Jarmark nasienny w Warszawie.** W dniach 12 i 13 lutego odbył się w Warszawie doroczny jarmark nasienny. Miało go w tym roku nie być wcale, bo była obawa, że wielu z powodu różnych trudności handlowych nie zechce ponieść kosztu wystawienia pólki nasion, a rolnicy znów z powodu niepokojów nie zjadą się dla zakupów do Warszawy. Ze względu jednak na to, żeby nie robić zawodu tym, którzy już się do jarmarków nasiennych przyzwyczajili, postanowiono ostatecznie go odbyć. Przewidywania ziściły się w części. Składnicy nasion nie stawili się wcale na jarmarku, a z towarzystw rolniczych, przysłały nasiona tylko warszawskiej siedleckiej; nie było też wielu rolników-hodowców. Mimo to było na sprzedaż około 51 tysięcy pudów różnych nasion. Ze zbóż przedstawiono tylko owies i jęczmień, które sprzedawano po 1 rublu do 1 r. 15 k. pud w gatunkach wyborowych. Grochu „Wiktorja“ sprzedano kilkaset pudów po



1 r. 40 kop. do 50 k. Najważniejszym towarem na tych jarmarkach jest zawsze koniuczyna. W ubiegłym roku urodzaj jej w Królestwie Polskim, a zwłaszcza w niektórych powiatach, był duży, a w ogóle większy, niż w roku poprzednim. Ale za to nadzieja zbytu jest mniejsza, gdyż i Niemcy mają koniuczyny dużo, a są jeszcze i zapasy pozostałe z roku zaprzeszłego. Z tego powodu cena koniuczyny, którą w roku zeszłym i zaprzeszłym sprzedawano po 80 rubli korzec, musiała znacznie spaść. W tym roku płacą po 45 do 50 rubli za korzec białej, lub też czerwonej, zaś szwedzką, której na jarmarku było bardzo mało, sprzedawano po 60 r. Przelotu bardzo poszukiwano, bo niedużo go było; płacono zaś aż po 42 do 46 rubli korzec. Wyki około 2500 pudów rozkupiono po 1 r. 20 k. do 1 r. 35 k. pud. Bobik było po 1 r. 30 k. do 1 r. 40 k. pud. Tymotkę niezbyt wyborową sprzedawano po 13 do 15 rubli korzec, ptaszyniec (seradełę) po 1 r. do 1 r. 15 k. pud, łubin żółty i niebieski po 2 r. 75 k., 3 r., 3 r. 25 k. i 3 r. 50 k. korzec. Było trochę różowego, i ten sprzedano nieco drożej. Buraków było około 400 centnarów po 9 r. 40 k. centnar, marchwi nasienie obtarte sprzedawano po 35 r. centnar. Po raz pierwszy na tym jarmarku ogrodnicy z pod Warszawy przedstawili nasiona różnych warzyw, jak fasoli, ogórków i t. p. Ziemiaków sporą ilość dobrych odmian okazała hodowla Drewica z Całowania.

## Ostatnia wojna Niemców z Bolesławem Wielkim.

### Zabiegi Niemców, a duma wobec nich Bolesława.

Nadszedł rok 1017-ty, minęło 16 miesięcy od owego pogromu Niemców na bartniczkiej polanie wśród lasów gdzieś między Krośnem a Głogowem, lecz ani pokój, ani rozejm choć na krótki czas nie został zawarty. Cesarz niemiecki nie znalazł u swoich sąsiadów od zachodniej strony żadnego zapewnienia, że mu jakąś pomoc do dalszego wojowania z Polską dadzą. Drżała na Niemczech skóra z obawy, że wojsko Bolesława lada dzień przeprowi się w którémkolwiek miejscu za rzekę Łabę i nowe ciągi im sprawi. Miarkowali przytém i czuli, że lud słowiański po obu stronach tej rzeki przez nich podbity i ciemiężony, wiedząc o ich klęsce, podnosi głowę, zaczyna przeciwko nim się burzyć, upomina się o swoje poodbierane mu pola i lasy, o swobodę w nich, i nie pytając o pozwolenie po swoje prawa sięga. Pragnęli więc i mieszczanie niemieccy po miastach na słowiańskiej ziemi, i panowie niemieccy, i ich cesarz dojsć do zawarcia pokoju z Bolesławem. Nie chcieli go jednak pierwsi o pokój prosić, aby nie przyznać się jawnie do tego, że są zwyciężeni, i że upokarzać się przed nim muszą.

I dla Bolesława pokój z Niemcami był teraz potrzebny i pożądany. Nie chciał ich ścigać za Łabą, wolał mieć spokój od ich granicy, bo zajmowały go teraz smutki domowe, rodzinne, i potrzeba wystąpienia z wojną na wschodniej granicy, przeciwko Rusi. Zmuszało go do tego trzymanie tam w niewoli jego córki i odebranie państwa Kijowskiego jej mężowi, Świętopelkowi, który po poprzednim, zmarłym władcy był najstarszym potomkiem panującego tam rodu. Nie wzywał jednak Bolesław Niemców do zawarcia

pokoju. Ponieważ był ich zwycięzcą, pogromcą, czekał tylko, aż ich cesarz o pokój, go poprosi.

Żadna więc strona nie chciała pierwsza o pokój prosić; ale że obie czuły teraz pokój tego potrzebę, więc znalazły się i osoby pośredniczące między królem a cesarzem, między Polską a Niemcami. Pośredniczyły zrazu nie wprost, jeno pokryjomu, przy pomocy innych jeszcze osób od obu stron wysyłanych i widujących się już ze sobą bezpośrednio. W ten sposób doszło do tego, że na samym początku roku 1017-go cesarz niemiecki podjechał z wnętrza niemieckich krajów nieco ku stronie wschodniej, żeby być bliżej granicy mocarstwa Polskiego. Zjechali się też tam i różni książęta i margrafowie, i arcybiskupi, i biskupi, i inni panowie niemieccy na naradę. Bolesław zaś w tymże czasie pojechał do swoich Łużyc, aby być bliżej granicy zachodniej i Niemiec. Tam, w Łużycach, miał dwie główne siedziby, dwa mieszkania dla siebie i swego dworu: jedno w mieście Budziszynie, a drugie w grodzie nazywanym podówczas przez Polaków w skróceniu Ściany. (Gdzie leży Budziszyn, zobaczcie na mapce w Gazecie 1307; o tych zaś zapomnianych Ścianach, o których nikt z żyjących od wielu już wieków nie wie i nie wiedział, jako też o ich położeniu, powiem później.)

Obustronne nagabywania o pokój stały się wtedy już jawne. Jeździły poselstwa od dworu niemieckiego do polskiego i nawzajem. Cesarz Henryk kazał oznajmić królowi Bolesławowi, że ponieważ „zjechała się z nim teraz cała starszyzna niemiecka, więc jeśli Bolesław poda warunki odpowiednie, to zgodnie z radą tejże starszyny, przyjmie je chętnie.“\*) Następnie cesarz udał się do Merseburga, żeby jeszcze bliżej być od granicy Polski, a na przód posłał dwóch arcybiskupów, jednego biskupa i wielu świeckich panów z wojskiem, aby układali się z władcą polskim. Bało się widocznie to poselstwo jechać do samej granicy, nad Łabę, myśląc, że przez tę rzekę może jeszcze przeprowić się zniemacka wojsko polskie. Siedziało więc dni 14 na połowie drogi między Merseburgiem a granicą, w miejscu osłoniioném rzeką Modłą (Milda), i słało do owych Ścian, do przebywającego tam Bolesława, gońców, żeby się ułożył, gdzie z nim posłowie cesarscy zobaczyć się będą mogli. Zapraszali go, aby „przyjechał nad rzekę Łabę sam, bez wojska, to i oni tam w takim razie przyjadą porozmawiać z nim osobiście o sprawach od tak dawna leżących mu na sercu.

### Obraza, nowa wojna postanowiona i przygotowania.

Bolesław jednak nie chciał się ruszać ze swojego grodu. Uważał, że i tak już uczynił dużo, zbliżywszy się ku granicy na odległość paru mil tylko od niej. Nie chciał, żeby cesarz pomyślał, iż unia się przed nim. Żądał, żeby posłowie cesarscy aż do samego grodu, do tych Ścian, jego siedziby królewskiej, przyjechali. Na naleganie zaś wysłańców, żeby się zgodził nad samą Łabę przybyć, król nie chcąc tłumaczyć dokładnie, o co mu idzie, rzekł tylko, iż posłom cesarskim nie ufa, i nie głupi jechać niebacznie tam, gdzie wrogowie mogą na niego czyhać zdradziecko.

Wysłańcy więc niemieccy rozpoczęli targi i zapytują:

— Jeśli nie życzysz, Panie, jechać nad

\*) Dytmar, VIII, 50 (VII 35).

Łabę, to możeby nasi dostojnicy podjechali do rzeki Czarnego Halsztrowa? Czy wyjdiesz do nich, Panie?

— Nawet przez ten oto most nie przejdę! — odrzekł król.

Kiedy dostojnikom niemieckim czekającym nad rzeką Modłą tę odpowiedź powtórzono, obrazili się okrutnie, tłómacząc sobie, że ich, tak wielkich panów i do tego arcybiskupów, i jeszcze posłów cesarskich, Bolesław ma za nic, że ich zwodzi i pomiata nimi. Jadą więc do cesarza i tak mu zdali sprawę, że gniewem zapalał. Natychmiast urządzono nową wojnę i wydano rozkazy, aby wszyscy wierni cesarzowi do niej się przygotowali. Zabronił też cesarz surowo, aby odtąd nikt z poddanych niemieckich nie ważył się znosić z Bolesławem, tym wrogiem panowania niemieckiego. Nakazano przytém pilnie śledzić, czy kto jakichkolwiek stosunków z nim nie będzie utrzymywał.

Jak za tę niby to zbrodnię odtąd karano, nie wspominają pisarze ówczesni. Niemcom, zwłaszcza wielkim ich panom, może to uchodziło czasem i nadal. Ale najbardziej z pewnością szpiegowano i karano lud słowiański, i nie tylko za jego stosunki z Polakami mogące dopiero odtąd nastąpić, lecz i za te, jakie już i przedtém były. Te rozkazy, nakazy i zakazy urządzono i rozsyłano w początku lutego w owym roku 1017, a w styczniu, kiedy cesarz siedząc w Merseburgu oczekiwał dopiero skutku starań o zawarcie rozejmu z Bolesławem, rozsyłano ztamtąd po jednemu zbrojnych strażników-włapaczy, aby chwytali „zbójów“ i przyprowadzali do miasta. Mnóstwo ich tam powieszono.\*) Nietrudno domyślić się, co to byli za „zbójce“ i dlaczego tak wielu ich wtedy właśnie i tak gorliwie wylapywano. Byli to z pewnością nie zbójce bynajmniej, tylko gorętsi słowianie, spodziewający się nadejścia Bolesława i zrywający się niecierpliwie do walki z Niemcami, aby ich jazmo zrzucić.

Z Merseburga w miesiącu lutym cesarz, gniewem na Bolesława pałający, pojechał do Magdeburga (miasta w kraju wtedy słowiańskim), i tam również na jego rozkaz jakichś przestępców (tym razem nazywanych „złodziejami“, nie zaś „zbójami“) zewsząd sprowadzano i wieszano. „Wiele (bowiem) spraw dla pożytku ojczyzny (ale ojczyzny niemieckiej, i fałszywie pojmoanej) tam wtedy załatwiono“—zapisał ku wiecznej pamięci ówczesny pisarz niemiecki.

Przez całą jeszcze wiosnę i początek lata Niemcy robili przygotowania do wojny. Cesarz znowu zwoływał parę zjazdów ich starszyny, aby „zarządzić wyprawę wojenną, i rozważyć najpilniejsze sprawy i potrzeby ich ojczyzny, będącej pod grozą niebezpieczeństwa“\*\*). Dopiero 10 lipca rozpoczął się pod dowództwem cesarza pochód na nową wojnę liczących wojsk niemieckich z różnych stron zgromadzonych w Lesce czyli Łészkowie\*\*\*), o trzy mile od Magdeburga, po prawej, naszej stronie od rzeki Łaby.

Gdzieś niedaleko ztamtąd przebywał wtedy i nasz Bolesław. Na samém już odjeźdném będąc w Łészkowie i nawet ruszając w pochód, słał do niego cesarz posłów, próbując jeszcze pokój niby za-

\*) Tak tylko dadzą się znaleźć zrozumieć słowa: „Ibi tunc multi latrones a gladiatoribus singulari certamine devicti suspendio perierant“. (Tamże, VII, 36 (VIII, 51).

\*\*\*) W Gosławie ok. 1 kwietnia i w Akwizgranie. D. VII, 89 (VIII, 54).

\*\*\*\*) Dzisiejsze niemieckie Leitzkau.



wrzeć, ale prędzej zapewne na przeszpiegi, żeby wiedzieć, gdzie on się znajduje i jakie ma siły. Dwa razy jeździł do niego i wracał jeden z zaprzyjaźnionych jakoby z nim książąt niemieckich, ale do żadnej ugody nie doszło.

### Bolesław nie puszca przez Odrę, więc Niemcy chcą zdobyć miasto Niemcy.

Bolesław bitwy teraz od nieprzyjaciela nie przyjmował i nie wydawał mu, tylko pozostawiając, jak zwykle, wojska w swych grodach warownych, żeby się te Niemcom nie poddawały i bronić się mogły, sam z główną siłą podążał ku rzece Odrze. A cesarz ciągnął za nim, ciesząc się, że ściga nieprzyjaciela, i rozkazał wszystko po drodze pustoszyć ogniem i mieczem. Miesiące prawie znosić musiały ten najazd biedne Łużyce. Wojska niemieckie towarzyszące cesarzowi były liczne, a w dodatku jeszcze z pomocą im nadciągnęła niezmierna moc Czechów ze swym księciem od południa i pogańskich Lutyków od północy.

Lecz i Polacy nie próżnowali. Król Mieszko pośpieszył z dziesięciu pułkami do Czech. Tylko dwa dni tam zabawiał, ale „wrócił do Polski prowadząc „niezliczone mnóstwo zabranego z tamtąd „ludu, czém niezmierną radość ojcu swojemu sprawił“. Wcześniej zaś jeszcze, jakoś w czerwcu, wierni Bolesławowi wojacy na Morawach, na południo-wschodzie od Czech, ruszyli ku rzece Dunajowi i otoczywszy znięcała duże wojsko Niemców Bawarów, do szczętu je wytepiłi, odpłacając się za podobną szkodę w czasie poprzedniej wojny sobie od tychże Bawarów wyrządzoną.

Sam Bolesław nie dał tym razem Niemcom przeprosić się przez Odrę. Cesarz Henryk w niepokojach i trwodze, szukając znów miejsca do przeprawy, przyciągnął dnia 9 sierpnia z całym wojskiem pod Głogów, miasto nad tą rzeką na Szlązku. Ale i Bolesław już tam się znajdował. Polacy zaczepiali Niemców, wzywając ich do boju. Lecz cesarz zabronił swoim wojakom uganiać się za Polakami, aby nie wpadli na strzały zaczajonych w ukryciu a znanych z celności łuczników polskich. Zaniechał on zamiaru przeprawy przez Odrę i zdobywania Głogowa. Umyślił teraz pozabierać inne grody polskie po tamtej stronie Odry leżące i oddalone od niej i od głównych wojsk polskich, a więc nie mające dużych sił do obrony.

Wybrał spośród swego silnego wojska 12 pułków i rozkazał im zdobyć pośpiesznie, zanim Polakom pomoc od króla przyjdzie, miasto „Niemcy“, tak nazwane dlatego, że założone było i zamieszkałe początkowo przez Niemców\*), zapewne podczas jakiejś dawniej wojny w niewolę zabranych i na Szlązk zaprowadzonych. Za ledwo wojska niemieckie pod mury tego miasta przyszły i na noc obozem się rozłożyły, dał się nocą słyszeć hałas. Oto wchodziło do miasta przysłane na pomoc wojsko polskie. Oddział był niewielki, ale w ciemności i przy deszczu ulewnym prawie bez przeszkody wszedł do miasta. I mogło już ono teraz lepiej się bronić. Więc w trzy dni potem nadszedł tu i sam cesarz z całą swoją siłą, a opasawszy miasto dookoła, ze wszystkich stron je oblegać zaczął.\*\*\*) Zdawało mu się, że już

ani pies tam się nie przedostanie przez jego gęste stráže. Aż tu pewnej nocy znów Polakom w tych spolszczonych Niemcach posiłki od króla przyszły, tym razem już nawet duże; a tak jakoś po cichu przesłiznąć się do wnętrza murów potrafiły, że wojska cesarskie dopiero po czasie o nich się dowiedziały. Rozkazała tedy starszyzna niemiecka budować wieże drewniane na kołach i inne przybory, aby jej wojska mogły wdzierać się na mury obronne, rozbijając je, zdobywać, i bić broniących się za niemi mieszkańców miasta i wojaków. Ledwo jednak Niemcy coś takiego zbudowali, wnet i ze strony miasta zjawiały się sztuki podobne ułatwiające obronę.

„Nigdy nie słyszałem, żeby jacykolwiek „ludzie umieli sobie kiedy mądrzej radzić „i z większą wytrzymałością a cierpliwością „starali się bronić, — pisze Dytmar. — Jesli im się co dobrze powiodło, nigdy „nie zdradzili swęj radości okrzykiem; „również niepowodzeń swych żadnym pomrukiem boleści lub smutku nie zaznaczali.“ Ufając zaś pomocy Boga jedynego, z tej strony miasta, na którą chmary pogańskich Lutyków uderzały, krzyż święty wzniesli. Trzy tygodnie trwały mniejsze utarczki, napady i budowa przyborów niemieckich do wielkiego ze wszystkich stron naraz uderzenia w miasto.

W owym czasie odbywały się też walki i inne działania wojenne w wielu miejscach na całym zachodnim pograniczu mocarstwa polskiego, od morza przy ujściu Odry, aż do rzeki Dunaju. Na Pomorze wpadły były wprost ze swojego kraju pozostałe tam jeszcze chmary zbrojnych Lutyków. Jedna ich gromada szturmowała do któregoś z miast pogranicznych, ale musiała odejść z niczym, utraciwszy dużo ludzi. Wojsko polskie strzegące grodów na zachodzie Łużyc, szczególnie zaś w Ścianach obozujące, przepравиło się raz za rzekę Łabę, dając poczuć wojnę Niemcom w okolicach Białej Góry i strasząc ich dobijaniem się do tego miasta. Gdy liczne wojska czeskie ze swoim księciem Oldrychem dopomagały Niemcom oblegać

wane Nimpe, a położone o mil 17 na południu od Głogowa, o 6 zaś lub 7 mil na południo-zachodzie od Wrocławia. Za dużą jednak wydaje się nam jego odległość, choćby na to, żeby w ciągu trzech dni od wypadku, jaki w niem zaszedł, cesarz nie tylko mógł pod Głogowem o nim się dowiedzieć, ale i sam z całym dużym wojskiem z tamtąd nadejść. Niemcom więc zwykle potrzeba było czasu na takie pochody.

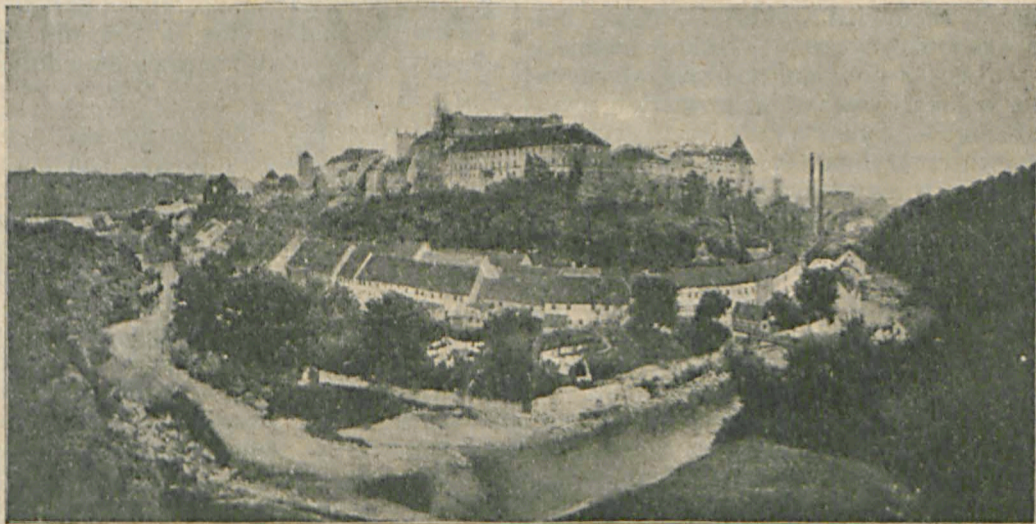
szląskie miasto i pustoszyć tę krajinę, Morawianie tymczasem wpadli do Czech. Zdobyli tam jedno miasto i z niezmierną zdobyczą do swojej krajiny, Moraw, wrócili. Lecz niemiecki margraf czyli wielki strażnik w Austrii, w Wiedniu siedzący, pośpieszył z wojskiem przeciw Morawianom, i uderzywszy na nich z zasadki, więcej niż tysiąc ludzi im zabił, a prowadzonym z Czech jeńcom do swego kraju wracać kazał.

Nie było spokoju i na wschodniej granicy mocarstwa. Tam, przez posłów wzaajemnych, w zмовіе z cesarzem niemieckim był książę Rusi, to jest Kijowa i Nowogrodu, Jarosław. Jego wojsko więc na granicę Polski uderzyło i oblegało na niej któreś miasto. Nie mogąc go jednak zdobyć, musiało się wreszcie cofnąć.

Król więc Bolesław musiał mieć na wszystkie strony zwrócone oczy, uszy i myśli, wszystkiem zdaleka przez rozkazy swe i gońców kierować. Sam zaś siedział teraz we Wrocławiu, głównem mieście Szlązka, na to bacząc najbardziej, żeby wojsk niemieckich na prawą stronę Odry nie wpuścić. Bacznie też śledził, co w niedalekiem jego mieście Niemcach się dzieje, jak tam się bronią, jak spełniają jego rozkazy, i co nieprzyjacieli czyni.

Po trzech tygodniach usilnej pracy mnóstwa ludzi, figle niemieckie do opanowania murów warownych i zdobycia miasta były gotowe. Na początku września zatoczono do samych murów wyższe od nich, kilkopiętrowe wieże z balii i desek, napełnione tłumami zbrojnych od stóp do głów wojaków. Z dołu wież zaczęto walić wielkimi żelaznymi oskardami w mury, rozbijając w nich cegły i kamienie, a jednocześnie z wyższych piętér uderzano strzałami z łuków, dzidami, mieczami i toporami w ludzi, którzy miasta bronili na murach stojąc lub po nich biegając. Okropny, straszny bój zawrzał. Jakże tu teraz tym paru tysiącom ludzi zamkniętych, rozsypanych po całym murze otaczającym miasto, obronić się od owych hurm Niemców, Czechów i Lutyków, podjeżdżających z każdej strony, zewsząd na wieżach, i gotowych z nich wprost na wierzch muru wchodzić? Mieli jednak obrońcy radę i gotowe do jej wykonania przyrzady, a najważniejsze takie, że gdy tylko która wieża do muru się zbliżyła, to ją podpalali i wnet płonąła, a ludzie uciekać z niej co rychlej musieli, żeby się żywcem nie spalili.

Gdy się wieże popaliły, rzucili się do



Budiszyn, główne miasto Łużyc, nad rzeką Sprewią, i zamek na wzgórzu, gdzie przemieszkiwał król Bolesław i zawarty został ostateczny za niego pokój z Niemcami dnia 30 stycznia 1018 roku. (W dole przed tą częścią miasta Budiszyna widać kręcącą się rzekę.)

\*) Tak tę nazwę tłómaczy Dytmar, pisząc ją na sposób niemiecki: Nemzi. (VII, 44 [VIII, 59])  
\*\*) Dziejopisane są, że jest to dziś miasteczko Niemca, po niemiecku z Łużycka nazy-



szturmu Czesi na rozkaz swego księcia Oldrycha; ale pobito ich, z niczém odejść musieli. Po nich poszli naprzód Lutycy, ale i tych odparto. A tu wojska niemieckie chorować zaczęły i na duchu podupadły. Przekonał się więc cesarz, iż cała wojna na nic i że niema dla niego innej rady, jéno do Niemiec uciekać.

### Ciężki dla Niemców odwrót i pokój budziszyński.

Bał się już cesarz wracać przez Łużyce, gdzie przecie stały polskie załogi; więc ruszył przez Czechy, drogą mnóstwem gór uciążliwych najeżoną. Tam poszły też za umykającym nieprzyjacielem polskie oddziały, szczególnie piechota lekka, postrach Niemców, polscy łucznicy. Nabili oni widocznie w czeskich górach i lasach wrogów niemało, i tam dopiero naprawdę losy tej wojny się rozstrzygnęły: nową klęską dla Niemców została ona, jak to mówią, przypieczętowana. Szczegółowych jednak wiadomości o niej brak. Były one tak dla cesarza i wogóle dla Niemców gorzkie, że nie chciano i nie wolno było o nich mówić ani pisać. Więc i Dytmar je przemilcza, to jedno tylko podając, że 600 żołnierzy piechoty polskiej wszedłszy do Czech na własną rękę, pokryjomu, aby coś dla siebie zdobyć, wpadło tam po większej części „w sidła, jakie byli sami na nieprzyjaciół zastawiali“. Jest też mowa o tém, że książe czeski ugaszczal cesarza w swym kraju, w jego miastach wewnętrznych. Ale o przeprawie przez góry i lasy na pograniczach czeskich ówczesny dziejopis niemiecki pisze te oto słowa:

„Któż kiedykolwiek potrafi wyrazić tę „pracę okrutną, jakiej trzeba było dla „przebycia tej drogi, i tę wogóle klęskę opisać? Och, jakże trudno było wejść do Czech! „ale o ileż było jeszcze trudniej z nich się „wydostać!“ Aby znaczenie tych słów zrozumieć, należy pamiętać, że przecie już nieraz owemi drogami do Czech i z Czech, przez te góry i lasy, przechodziły liczne wojska czeskie, polskie i niemieckie, nawet i tego samego cesarza Henryka Drugiego, a jednak bez wyrzekania; więc nie sama uciążliwość drogi, lecz coś innego podczas jej przebywania, a cóż jak nie zasadzki wojenne i walki, było przyczyną tej wspomnianej tu klęski. Ale nie koniec jeszcze tego wyrzekania; oto jego dalsze słowa:

„Przedsięwzięto tę wyprawę na zgubę „nieprzyjacielowi naszemu“, — pisze ten sam dziejopis ówczesny, biskup niemiecki. — „Lecz z powodu naszych własnych „win bokiem ona wylazła naszym „zwyczajom“. — Tylko przez żart gryzący, na drwiny, Dytmar w tém miejscu nazwał swoich zwycięzcami. Jest to wyraźny przytyk, że szli na wojnę przechwalając się, iż tym razem zwyciężą, a wracali z niej doznawszy nowej klęski. — „Bo „czego wpieryw nie mogli z nami zrobić „nieprzyjaciele nasi, to potem się stało „skutkiem naszych własnych występków. „Wypada mi też zapłakać i nad tém, co „zrobili wojownicy Bolesława w krajnie „naszej między rzekami Łabą a Modłą\*). „Oto z rozkazu swojego pana przeprawili „się tu nagle w dniu 19 września z za „Łaby i więcej niż tysiąc poddanych ztąd

\*) Modła zeka płynąca do Łaby, między tąż Łabą a Salą, zwana po niemiecku Mulda albo Milda.

„zabrali, a niszcząc wszystko ogniem na „szerokich obszarach, szczęśliwie ztąd do „kraju swego wrócili.“ (Dytmar, VIII, 64 [VII, 47]).

Cesarz niemiecki, wracając z tej wojny, zatrzymał się dnia 1-go października w Merseburgu, tam właśnie, gdzie piszący przytoczone tu tylko co słowa był wtedy biskupem. Tam dogonił cesarza poseł od króla Bolesława z wiadomością, że pan jego uwolni jeńców niemieckich, jeśli zostaną uwolnieni jego wojacy, których po więzieniach w Niemczech trzymano. Cesarz na to się zgodził. Uwolnił też razem lub przestał prześladować paru dostojników niemieckich, którzy oddawna byli z Bolesławem zaprzyjaźnieni. Jednemu z nich nawet, księciu bawarskiemu, którego był z panowania w Bawarii zrzucił, napowrót rządy tam objąć teraz pozwolił. Widocznie cesarz i jego doradcy pragnęli temi sposobami, lub może za pośrednictwem tych ludzi, Bolesława względem siebie ułagodzić.

Była to ostatnia już za tego króla wojna Polski z Niemcami. Niemcy nie zaczęli już więcej Bolesława. Cesarz zgodził się na jego naleganie pokój z nim uroczystie zawrzeć. Układy ostateczne o warunki pokoju odbywały się tak, jak Bolesław żądał, nie w Niemczech, i nawet nie na granicy, ale w jednej z jego głównych siedzib, w mieście Budziszynie, stolicy Łużyc. Wyszło na to, że nie król do cesarza, ale cesarz do króla posłów z prośbą o utrwalenie pokoju przysłał. W cztery miesiące po zakończeniu działań wojennych i ugodzie o wymianę jeńców, przyjechali tam posłowie cesarscy, a mianowicie dwaj biskupi i trzech świeccy dostojnicy, i w dniu 30 stycznia pokój zaprzysięgli. O warunkach tego pokoju niewiele wiemy. Ówczesny pisarz niemiecki niechętnie o nich wspomina, przyznając krótko, że „nie były dla Niemców „zaszczytne, aby pochwalić się niemi mogli, jéno takie, jakie wtedy można było „osiągnąć“.

W ugodzie o pokój cesarz zapewne przyznał Bolesławowi, i potwierdził ostatecznie jako jego własność — cały kraj łuzycy z pod Niemców przezeń aż po rzekę Łabę wyzwolony i strzeżony. Pewne zaś jest to, że cesarz Henryk i inna starszyzna niemiecka, a przedewszystkiem margraf Miszna, Herman, zgodzili się na to i dali zapewnienie, że dla utrwalenia tego pokoju budziszyńskiego zostanie zawarty związek małżeński między Odą, siostrą tegoż margrafa Hermana, który przedtem panował w Budziszynie, a teściem jego Bolesławem, od roku już prawie owdowiałym.

Jakoż w cztery dni po zawarciu pokoju, dnia 3-go lutego, przyjechała naręczona króla, którą zapraszać jeździł, zapewne do Miszna, i przywiózł ztamtąd syn jego młodszy Otton. Naręczona przyjechała nie do Budziszyna jednak, ale do innej, bliższej od granicy panowania niemieckiego siedziby królewskiej, którą Dytmar tym razem zapisał jako „Cziczani“, a którą my tymczasem, póki położenia jej nie wyjaśnimy, nazywamy krótko Sciany. Spotykał ją tam niezliczony tłum ludu, mężczyzn i kobiet; a że, zanim przyjechała, noc zapadła już ciemna, więc wszyscy szli niosąc pochodnie pozapalane. Wkrótce potem odbyły się zaślubiny, niewiadomo jednak, czy w tychże Scianach, czy już w inném miejscu, naprzy-

kład w głównej stolicy ówczesnego królestwa polskiego, Gnieźnie.

K. Prószyński.

## Przygody Jaśka.

Opowiadanie ósme,

z którego widać, że człowiek niekiedy po śmierci chodzi.

— Z głębokości wołałem ku Tobie, Panie: Panie, wysłuchaj głos mój.

Niech będą uszy Twoje nakłonione na głos modlitwy mojej.

Jeżeli będziesz sądził nieprawość, to któż się ostoję?

Albowiem u Ciebie jest odpuszczenie, i dla zakonu Twego czekałem Cię, Panie.

Czekała dusza moja na słowo Jego, i nadzieję miała dusza moja w Bogu.

Bo u Boga jest miłosierdzie i obfite u Niego odkupienie.

Wieczór zimowy. W dacie Macieja Wzroska zebrana jest cała rodzina, oprócz nieboszczyka Jaśka. Tomek czyta z książki do nabożeństwa psalmy, a światło lampki, stojącej na stole, oświeca nikłym blaskiem smutne oblicza wszystkich.

Już czwarty dzień upływa od nieszczęśliwego zdarzenia, — już przeszły wybuch największej rozpacz po stracie ukochanego dziecka, więc znękani i osłabieni szukają w Bogu pocieszenia i większą część dnia poświęcają modlitwie.

Smutną wieść o utonięciu Jaśka tejże nocy przyniesiono do ich chaty. Podążyli wszyscy nad rzekę, na miejsce wypadku, lecz w cieniu nocy nie ujrzeli i nie usłyszeli nic, prócz pochmurnego nieba i szumu wodnej fali.

Maciej Wzroszek umiał ukryć cierpienie w głębi swój duszy, lecz rozpacz matki nie miała granic. Jej płacz i wołanie rozchodziły się daleko po przestworzu i musiały się odbić rzewnym echem aż o niebios sklepienie.

Na trzeci dzień przyjechał Szymański. Wracał z miasta i przywiózł słowo pociechy. Na odjeździe wziął Wzroska na stronę i powiedział, co słyszał w mieście. Nowin dużo a ciekawych.

Otóż najpierw słyszał, że ten pan z brodą, co był pisarzem przy spisie wojskowym, został za różne przestępstwa wypędzony ze służby. Ocyganił on mnóstwo ludzi i sprawił dużo nieszczęścia w całym powiecie.

Jaśkowi służba wojskowa nie groziła, był od niej wolny, bo miał wyciągnięty przy losowaniu numer duży, jeden z ostatnich. Ale ów pan z dużą brodą podał go w spisie ukrywających się i kazał go łapać, aby jeszcze więcej pieniędzy od Wzroska wyłudzić. Gdyby Jaśiek był odrazu stawiał się do urzędu spisowego w powiecie, nicby mu się nie stało i wróciłby do domu z czerwonym biletem.

Maciej Wzroszek słysząc to wzdychał, a czuł, jakby mu serce chciało pęknąć z boleści wielkiej. Ale w Bogu, w modlitwie znajdował ukojenie prawdziwe, a psalmy, które Tomkowi czytać kazał, sprawiały mu ulgę prawdziwą.

Z tego wszystkiego, co słyszał od Szymańskiego, zwierzył się przed żoną. Oskarżył się przed nią, obwiniał się; pra-



wił, że przez swą głupotę i łatwowierność zgubił swe dziecko ukochane.

Wzroskowa, złamana nieszczęściem, spokojnie wysłuchiwała pokornych słów męża. Potem płakała cicho a rzewnie, a wreszcie rzekła:

— Nie rozpaczaj, mój stary. Wielkie jest miłosierdzie Boże. Może Bóg wszechmocny nie opuści nas.

Tak znowu minęły trzy dni. Czwartego dnia wieczorem siedzą w izbie i czytają psalmy. — Na dworze noc ciemna, a wiatr ponury wyje. Słowa psalmisty, opiewające potęgę Bożą, działają na ich zbolące dusze niby kojący balsam.

Wzroskowa siedzi w kącie, skurczona, ukrywając twarz w dłoniach. Maciej umieścił się przy piecu. Wzdycha on i patrzy przed siebie martwymi oczyma. Dzieci otoczyły Tomka, czytającego przy stole.

Wtém blada Baśka, spójrzawszy w okno, zawołała przestraszona:

— O Jezu! a toż to Jasiek!

Wszyscy się poruszyli, a Baśka znów krzyczy:

— Matulo! Jasiek stoi za oknem!

Widzieli wszyscy, że coś mignęło. Za chwilę rozległo się stapanie w sieni, drzwi się otworzyły — i w izbie stanął... naprawdę Jasiek, on, we własnej osobie.

Wrażenie na wszystkich było ogromne.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał Maciej, zrywając się z siedzenia.

Wzroskowa z rozstawionymi rękoma podbiegła ku synowi, lecz ze zbytku wrażenia zemdląła i padła na ziemię.

Trzeźwili matkę wszyscy, ułożywszy ją na łóżku; a gdy przyszła do przytomności, pierwsze jej słowa były:

— O Boże! czy mi się śniło?

— Nie, matulo, — rzekł Jasiek, — nie śniło się wam, to ja jestem, wasz syn!

— Więc ty żyjesz?

— Żyję, matulo.

I Jasiek rzucił się do całowania i uściskania matki, a potem ojca. Witali go też podobnie wszyscy w domu.

Nareszcie usiadł Jasiek i jął opowiadać przygody swoje, jak go łapali, jak się schował do kotliny pod urwistym brzegiem, jak wyszedł zawczasem, jak go dostreśli, jak go uchwycić chcieli, jak płynął rzeką, jak udał, że tonie, i jak nurkiem podpłynął pod brzeg i wysadził głowę pod wieżbowym kozieniem, który z innego urwiska wystawał, i jak niepostrzeżony przeczekał, aż się strażnicy oddalili.

Wylazł nareszcie ze strasznie zimnej kapieli, a bojąc się dalszej pogoni, poszedł, właściwie zaś, aby się rozgrzać nieco, pobiegł do Prus. Szczęśliwie przedostał się przez granicę, a potem, na tamtej już stronie, u znajomego gospodarza trzy dni przeleżał, chory z przeziębienia. Aż oto uczuwszy, że już lepiej się zrobiło, stęskniony do swoich i zasłyszawszy, że go mają za umarłego, pośpieszył do domu, by rodziców uspokoić. Szedł jednak ostróżnie, żeby go nie przyłapali znowu, a będąc już przy domu, zajrzał przez okno, czy kogo nieznanego w chałupie niema.

W izbie Wrzosek radość była wielka. Oprócz rodziców, brata i sióstr cieszących się z powrotu Jasika, jakby zmartwychwstałego, cieszył się nie mniej i on sam, gdy powiedzieli, że niepotrzebne było jego uciekanie z domu i ukrywanie się, bo jest od wojska wolny.

#### Zakończenie.

W zapusty Jasiek ożenił się z Zośką

Sobecką. Przeniósł się na grunt swój, i zaczął gospodarzyć szczęśliwie.

Maciej Wrzosek zaś jest teraz ostróżniejszy, i jeżeli ma jakiś kłopot, to nie zaufa byle komu, lecz najpierw udaje się po radę do Szymańskiego, i dobrze na tém wychodzi.

Józef Zaleski.

## O miedzę od marjawitów.

Niespodzianie wypadło mi w tych dniach być mimojazdem w Krośniewicach. Wyjechawszy w poniedziałek 5 marca rano z Kutna, przyglądałem się dość jednostajnej okolicy. Próbowalem wciągnąć wóznicę w rozmowę, ale nie miał do tego ochoty; jechał zamysłony, a nieliczne słówka, które rzucał w odpowiedzi na zapytania, nie dochodziły mych uszu, bo je gwałtowny wiatr porywał i niósł w pole, a zgubiwszy gdzieś po drodze, wracał ze świstem, przynosząc wzamian z pół podmuchy wiosny, zapach ziemi dopiero co zbudzonej ze snu zimowego, świeżo rozpekłych paków olszyny i opylających się już baziak na brzożach.

Mijaliśmy wioski, figury przydróżne, obwieszone wieńcami zczerniałej, zeszloneczonej zieleni, siedziby dworskie; ale ludzi prawie nie było widać, — zaledwo kilku powożących furmankami i paru pieszych.

Wioski były jakby senne; trudno było przypuścić, że koło tych cichych strzech omszonych dopiero co przeciągnęła, lub jeszcze przeciąga burza wstrząsająca duszami i sumieniami ludzkimi. Bo wszakże w okolicy tej szerzy się bałamutna nauka marjawitów, której główne siedlisko jest o parę mil ztąd, w Sobótce.

W połowie drogi napędziliśmy jakiegoś wędrowca, który poprosił o przyjęcie go na koziele. Zaprosilem go na bryczkę, rad, że udzieli mi trochę objaśnień. Ale zawiodłem się; nowego mego towarzysza, mieszczanina z Kutna, dziwnie mało obchodziło to, co się w jego okolicy dzieje. O marjawitach, juźci, wiedział, i od razu uprzedził mię, że ludzie wiele plotek o nich zmyślają; wiedział też, że w parafjach obalamuconych przez nich odbywają się właśnie w tych dniach rekolekcje i pojeżdżali się księża „na misje“. Dowiedziałem się, że i w Krośniewicach było poprzedniego dnia, w niedzielę, takie nabożeństwo, a może i dziś jeszcze się odbywa. Ale żadnych wiadomości dokładnych nie mógł mi towarzysz mój udzielić: nie wiedział, ani ilu mieszkańców miasteczko to liczy, ani nawet nie umiał wymienić nazwisk tamtejszego proboszcza, sędziwego gminnego, wójta i t. d.

Zamajaczyła wieża kościelna. To Krośniewice. Zbliżamy się. Coraz wyraźniej widać wieżę wyniosłą i kościół kształtu gotyckiego. Zbudowano go tu, lat temu trzydzieści kilka, na miejscu dawnego kościoła drewnianego. Samo zaś miasteczko pamięta bardzo dawne czasy. Wspomniało już o niem w jakichś spisach urzędowych z roku 1459.

Uliczką zabudowaną dość schludnymi domkami wjeżdżamy na obszerny rynek przed kościołem. Na rynku sporo furmank, a przy nich trocha ludzi. Zapytuję kogoś z przechodniów o nabożeństwo wczorajsze. Okazuje się, że trwa ono jeszcze i dzisiaj. Pośpieszam więc co prędzej do kościoła.

Kościół dość obszerny, o jednej nawie z dwiema sporemi kaplicami po bokach,

ma kształt krzyża leżącego. Świeci wewnątrz wielką czystością, wzorzystymi ścianami presbiterjum i barwnymi oknami po obu stronach wielkiego ołtarza, w którym na ciemnym tle obrazu widać postać Zbawiciela na krzyżu.

W kościele przy wejściu dość luźno, ale dalej — ramię przy ramieniu, tłok, że przecisnąć się prawie nie sposób. Wchodzę właśnie pod koniec kazania. Na kazalnicy kapłan, starzec w sukni zakonnej, reformat. Tłómaczy, co jest błędnego w nauce marjawitów, objaśnia, wzywa do wierności namiestnikowi Chrystusa i ustanowionym przez niego pasterzom. W kościele przeważnie kobiety, mężczyźni daleko mniej. Słuchają wszyscy w skupieniu, na twarzach niektórych widać ból, łzy w oczach się kręcą; niektórzy wydają się przygnębieni. Ksiądz zapowiada dalszy ciąg rekolekcji na godzinę 3-cią po południu. Lud korzy się z pieśnią przed Najśw. Sakramentem i rozchodzi się.

Na rynku tworzą się gromadki. Zbliżam się do tych i owych, przysłuchując się rozmowom. Uwagę mą zwraca na siebie jakiś mężczyzna ubrany z miejska, ale w samodziół, o twarzy nieprzyjemnej i ponurym spojrzeniu. Snuje się między ludźmi i zapytuje:

— Cóż to złego w tém upatrują, że chcemy Boga chwalić i żyć pobożemu? Czy to nas księża nasi czego złego uczyli? Po co rozpoczęto z nimi walkę?

Niektórzy potakują:

— A bo i prawda. Czy to im nie krzywdą, że nie mogą mszy św. w kościele odprawiać, jeno w kaplicy?

Inni zwracają uwagę na to, że nikt im krzywdy nie wyrządził, tylko oni sami wylamują się z posłuszeństwa należnego biskupom.

— Ba, — odzywa się jakiś mężczyzna, — cóż się mieli oglądać na biskupów, kiedy sam Ojciec Święty udzielił im błogosławieństwa?

— Ale kiedy udzielił? Jeszcze wtedy, kiedy biskupom ulegali, — powiada ktoś rozumniejszy.

— To prawda.

— A właśnie że nieprawda! Zresztą co mnie do tego! Ja tam nie chcę w to wglądać!

— No, ale przecie musicie wiedzieć, czy macie iść do kościoła, czy do kaplicy marjawitów.

— Ja wiem, że mnie tam nic od kościoła nie odciągnie — odzywa się jakaś kobiecina.

— Dobrze mówicie, — potakuje stojący obok mężczyzna. — Mamy kościół, po co nam te kaplice?

— Darmo to wszystko. Nie odciągną nas ani od kościoła, ani od Ojca Świętego, ani od biskupów.

Mężczyzna w kurtce samodziółowej rzuca na mówiących niechętnie spojrzenie i odchodzi do innej gromadki.

O godzinie 3-iej jestem znowu w kościele. Na kazalnicy wstępuje ten sam kapłan, którego poprzednio słyszałem. Znowu naucza, zachęca przykładami, zagrzewa do prawdziwej pobożności i do wierności Kościołowi. Wyjaśnia też, że „adoracja“ N. Sakramentu, czyli oddawanie mu czci z oznakami zewnętrznymi, jak klęczenie, nakazywane obecnie przez księży marjawitów, nie jest zwyczajem nowym w Kościele. — Pamiętam do dziś dnia — mówił — wspaniałe nabożeństwo ku czci Najśw. Sakramentu, które widziałem w Warszawie, gdym tam był, pięćdziesiąt lat temu. I teraz wszak odbywają się takie nabożeństwa, i



Kościół wzywa wiernych do czci Najśw. Sakramentu; ale nie wymaga od nich, aby klęczeli godzinami pod ołtarzem, kiedy w polu trzeba żąć, lub snopki przed deszczem zwozić.—Po kazaniu ksiądz odmawia z ludem litanje. Potem wstępuje na kazalnicę inny kaznodzieja,—kapłan w pełni sił, o łagodnym i rozumnym spojrzeniu. Z gorącym przekonaniem tłumaczy ludowi bałamuconemu mylną naukę, jakie są cechy jedynego prawdziwego Kościoła rzymskokatolickiego. Objaśnia, dlaczego Kościół ten jest jeden, święty, katolicki i apostołski. Wykazuje, że świętość jego zasadza się na tém, iż założycielem jego jest sam Bóg-Człowiek, Najświętszy, i że wśród wyznawców jego było tylu świętych; że nic nie może zmniejszyć świętości Kościoła, ani władzy nadanej mu przez Boskiego Założyciela, nic — choćby nawet wśród kapłanów byli nieświętobliwi, grzesznicy. Chrystus nadał władzę nad Kościołem św. Piotrowi i nie cofnął jej, choć św. Piotr ciężko zgrzeszył zapierając się Boga. Miał Chrystus przy sobie drugiego ucznia, św. Jana, wiernego Mu aż do śmierci i nad wszystkich ukochanego, a jednak nie przejął na niego tej władzy, nie odebrał kluczy od Królestwa Niebieskiego z tych rąk, w które raz je złożył.

Kaznodzieja mówi coraz goręcej, słowa jego pełne wiary i namaszczenia płyną swobodnie. W kościele natłoczonym widać ruch, ludzie skupiają się jeszcze bardziej dookoła kazalnicy; znać, że słowa kaznodzieji trafiły im do przekonania. On zaś mówi w dalszym ciągu o tém, jak to władza nad Kościołem przechodziła z Piotra św. na jego następców, aż spłynęła na zasiadającego obecnie na stolicy Piotrowej Pijusa Dziesiątego; jak każdy z następców Piotra św. przelewał część swęj władzy na biskupów. I Ojciec Św. Pijus Dziesiąty uważa również biskupów za swych zastępców, podobnie jak sam jest zastępcą Piotra św., i tylko przez biskupów mogą księża otrzymywać od niego jakiekolwiek rozkazy lub wyroki. Daremnie więc ludzie oczekują, że księża marjawici otrzymają wprost od Ojca Św., z pominięciem biskupów, wyrok w swojej sprawie. — Powiadacie, — mówił kaznodzieja, — że księża marjawici są bardzo świętobliwi, że żyją jak aniołowie. Ale wiecież, co jest główną cechą świętości? Oto pokora i posłuszeństwo. Bez tego niema świętości. W piekle można znaleźć nawet czyste dziewice, ale niema tam wcale pokornych. Opowiem wam przykład z życia jednego z wielkich świętych.—I opowiada, że przed laty żył człowiek imieniem Szymon, przewany później Słupnikiem. Dusza jego pałała od młodości taką miłością Boga, że ziemskie rzeczy nie miały dla niego żadnej wartości. Zatopiony w modlitwie, szukał samotności, by go nic od Boga nie odrywało. Zamieszkał w pustelni, ale ludzie i tam podpatrzyli jego życie surowe i umartwione, i zaczęli się schodzić prosząc go o rady i modlitwy. Wówczas Szymon umyślił w niezwykle sposób od świata się odosobnić. Wkopał do ziemi wysoki słup, na wierzchołku jego zrobił niewielki pomost z desek i wszedłszy nań, postanowił tam, na wzniesieniu ponad ziemią, spędzić resztę życia. Ale za mało mu było oderwania od świata: z wielkiej gorącości ducha pragnął i tam żyć w ostrej pokucie i umartwieniu. I oto ślubował Bogu stać wciąż na owym słupie na jednej nodze: gdy prawa mu ścierpła, stawał na lewej, i tak naprzemiennie. Zda-

wałoby się, że to dziwactwo, szaleństwo! Czyż Bóg wymaga podobnych umartwień?! Ale Bóg widział gorącą miłość świętego pustelnika, widział szczerą jego intencję, więc przyjął jego ofiarę, darząc go wzajem wielkimi łaskami. Ludzie nie odstąpili i tu świętego. Podawali mu żywność i doznawali za jego wstawieniem się cudownej pomocy Boskiej w swych potrzebach. Sława niezwyklej świętobliwości pokutnika i cudów przezeń działanych rozchodziła się daleko, i pod słup jego zaczęły się schodzić całe rzesze ludzi. Zaniepokojono to biskupów tych diecezji, z których ludzie do Słupnika pielgrzymowali.—Co to będzie?—mówili zebraawszy się na naradę.—Człowiek ten ściąga tłumy ludzi, które uważają go za świętego. A kto wie, czy on ich nie bałamuci, czy świętość jego nie jest tylko pozorna i czy moc czynienia cudów, którą posiada, od Boga pochodzi? Wystawmy go na próbę. Jeżeli jest świętym, to okaże się posłusznym i pokornym. — I wystawili jego posłuszeństwo na próbę. Oto pewnego poranku, kiedy św. Szymon modlił się na słupie, stojąc w zwykłej swęj postawie pokutniczej, po przez rzeszę modlącą się na dole zaczął się przeciskać wysłannik biskupów, — nie żaden dostojnik, ale zwykły sługa Boży, kapłan. — Szymonie Słupniku!—zawołał,—oto biskupi przysyłają ci przezemnie rozkaz: zstąp natychmiast z tego słupa na ziemię i żyj tak, jak wszyscy ludzie!—Ledwo on tych słów domawia, aliści św. pustelnik staje na obu nogach, podchodzi do brzegu pomostu i chce się spuszczać ze słupa. Ani się zawahał, natychmiast chciał rozkaz spełnić.—Stój!—zawołał wtedy wysłannik biskupów, — pozostań tam, gdzie jesteś. Okazałeś pokorę i posłuszeństwo, to dowód, że łaska Boska jest z tobą. Chwał więc Boga, jak rozumiesz, i bądź pośrednikiem między Nim a ludźmi. — Przykład św. Szymona—mówił dalej kaznodzieja—pokazuje, jak święci rozumieją wartość i ważność posłuszeństwa. Ono jest podstawą świętości. A księża marjawici, choć pędzą życie świętobliwe, czy okazali uległość i posłuszeństwo swym biskupom? Niestety, widzimy, że otwarcie rozkazy ich lekceważą...

Długo jeszcze mówił kaznodzieja z przejęciem i zapalem; choć późna już była godzina, lud jednak słuchał go w skupieniu, z zapartym oddechem.

Potem wszedł na kazalnicę inny kapłan i wykladał znaczenie przykazań Boskich, aby ułatwić obecnym rachunek sumienia przed mającą się rozpocząć nazajutrz spowiedzią rekolekcyjną.

Wkońcu następuje błogosławieństwo N. Sakramentem i fala ludu wylewa się z kościoła na rynek.

Zmrok już.

Na mnie konie czekają. Szkoda, że niema już czasu z ludźmi porozmawiać. Chyba nie znalazłbym teraz między nimi wahających się i niepewnych. A jeżeli pozostali jeszcze nieprzekonani, to niechże ich łaska Boska po jutrzejszej spowiedzi ostatecznie oświeci!

Odjeżdżając spoglądam raz jeszcze poza siebie. Miasteczko tonie w mroku, a wieża kościelna, jakby zadumana, spogląda ku gwiazdom, których coraz więcej roziskrza się na pogodnym niebie.

St. W.

## GOSPODARSTWO.

### O międzyplonach.

#### Mieszanki międzyplonowe.

Rośliny strączkowe (naprzykład groch, wyka, bobik) zawierają w sobie dużo azotu i wzbogacają nim glebę; dlatego też zdadne są do uprawy i na paszę i na zielony nawóz. Mieszanka grochu, wyki i bobiku stanowi w glebach zwężłych, zasobnych w wapno, bardzo dobry międzyplon, który z domieszką owsa lub jęczmienia daje smaczną i pożywną paszę. Najczęściej zasiewają taką mieszankę po spżęciu rzepaku. Można też ją zasiać po spżęciu jakiegóś wczesnej odmiany żyta, lub wreszcie po jęczmieniu zimowym sześciorzędownym, który jest u nas jeszcze mało uprawiany, a zasługuje na rozpowszechnienie.

W glebach lekkich niemożna tego sześciorzędownego jęczmienia uprawiać, bo łatwo wymarza; ale w glebach zwężłych, zasiany wczesnie, z nasienia u nas już wyhodowanego, bardzo dobrze się udaje.

Jerzy Turnav tak opisuje zaprowadzoną u siebie uprawę mieszanek międzyplonowych:

Związane zboże rozstawia się na polu w lalkach w rzędy od 85 do 120 łokci. Zaraz po zgrabieniu ścierni i usunięciu zgrabków dopełniam, o ile możność, zasiewu w tym samym jeszcze dniu, w którym zboże wiązano. Najpierw więc idzie siewnik z nawozem sztucznym (z żużłami Tomasa, gdyż kainit daje się jeszcze przed zasiewem przedplonu, żyta lub jęczmienia zimowego). Zaraz za tym siewnikiem idzie drugi siewnik z ziarnem mieszanek, a znowu za nim plugi wieloskibowe, które przykrywają ziarno nie głębiej niż 2 cale. Po zasianiu i przeoraniu całego pola, bronuje się je następnymi dniami kilka razy, a jeżeli pora sucha, zakończą się robotę walcami, aby doprowadzić wilgoć do ziarna. Jeżeli zasiew ma być wykonany rzędowo, w takim razie najpierw przeoruje się ścierni plugami wieloskibowymi, potem się bronuje i sieje się ziarno. Pasy, na których zboże stało, dosiewa się później, albo, jeżeli minął już dzień 20 lipca, dowozi się dodatkowo obornikiem.

Jeżeli się zasiało mieszankę taką przed dniem 20-ym lipca, w takim razie zwykle z końcem września zaczyna już kwitnąć, a w listopadzie daje ogromną ilość zieleniny do przyorania. Mieszanki zasiane po jęczmieniu zimowym, to jest w pierwszych dniach lipca, zwykle kwitną już w początkach września. Jeżeli pole jest blisko i łatwo na nie obornik wywozić, to skasza się mieszankę potrochu dla bydła, a po skoszeniu wywozi się w to miejsce małą potrzaskę obornika. Pamiętać należy, że rośliny groszkowe samymi korzeniami bogacą glebę w azot, że zatem skoszenie ich tylko częściowo uboży ziemię. Łatwo więc to zubożenie wynagrodzić niewielką ilością obornika.

Jeżeli mieszanka międzyplonowa ma być koszona na paszę, w takim razie należy ziarno mieszać w sposób następujący:

Na sto garncy wszystkiego ziarna—powinno być: wyki siewnej 40 garncy, grochu 30 garncy, owsa lub jęczmienia 20 g. i bobiku 10 g. Bobik dodaje się na to, aby w porze słołnej groch i wyka, opierając się o niego, nie wylegały. Wykę i bobik można w części zastępować gryką.



Jeżeli mieszanka ma stanowić zielony nawóz, to w ziemiach bardzo jałowych i lżejszych daje się: Na sto garncy ziarna—wyki 50 garncy, grochu 30 g., bobiku 20 g. W glebach przypiaszczystych zamiast bobiku może być łubin.

Na zielony nawóz w ziemiach zwięźlejszych i suchych, naprzykład w czarnoziemiach: Na sto garncy ziarna — grochu 60 g., wyki 20 g. i bobiku 20 g.

Na zielony nawóz w glebach zwięźlejszych wilgotnych (w glinkach próchnicznych): Na sto garncy ziarna — bobiku 50 g., wyki 30 g., grochu 20 g.

Co do grochu, to najwięcej zieleniny daje groch „Wiktoria”; można jednak używać i tańszego grochu „polnego”, albo „zielonego”. Trzeba wiedzieć, że przy międzyplonach stanowczo lepiej jest używać *mieszanek*, niż siać wyłącznie jeden gatunek roślin strączkowych. Mieszanki zawsze lepiej się udają.

#### Międzyplony jako pasza.

Międzyplony jako pasza mają w gospodarstwie wielkie znaczenie dlatego, że odpowiednio dokonywane wsiewki nie tylko dostarczają bydłu więcej wogóle paszy, ale dają paszę świeżą, młodą, bogatą w białko, i wtedy właśnie, kiedy o taką paszę jest trudno, a mianowicie: 1) wcześniej na wiosnę przed pierwszym pokosem koniczyny, 2) między pierwszym a drugim pokosem koniczyny, 3) po drugim pokosie koniczyny aż do późnej jesieni.

Można, co prawda, w daleko prostszy sposób osiągnąć paszę, przeznaczając osobne pole na kolejną uprawę mieszanek, końskiego zębu i t. p. Ale właśnie *międzyplony* pozwalają zbierać *dwa plony* w jednym roku z tego samego pola, i dlatego mogą znacznie przysporzyć dochodu gospodarstwu.

Wsiewki jesienne są nieraz zbyt ciężkie w gospodarstwach uprawiających buraki cukrowe, bo buraków liście i główki dostarczają od połowy września do końca października paszy obfitej. Ale i w takich gospodarstwach można zalecać zasiewanie częściowo międzyplonów ścierniskowych, a to choćby tylko z tego powodu, że dobrze jest nie karmić bydła wyłącznie tylko liśćmi buraczanami, ale zastępować je po części inną paszą, a za to więcej liści dotować na wiosnę. Często też bywa, że kilkodzienna słota przeszkadza kopaniu buraków; a wtedy rosnąca pod ręką mieszanka, sporek, albo gorczyca są dla gospodarza prawdziwym dobrodziejstwem.

## Nowinki telegraficzne.

**Z Petersburga.** Ukaz Najwyższy wyznaczył otwarcie sejmu w Petersburgu na dzień 10 maja. Rząd nie spodziewa się, aby do tego czasu zostały ukończone wybory posłów we wszystkich guberniach Cesarstwa i Królestwa Polskiego; przypuszcza jednak, że większa część posłów będzie już do 10 maja obrana, i że w dniu tym zbierze się ich w Petersburgu ze 350. Będzie to liczba nie całkowita (wszystkich posłów do Sejmu ma być zgórą 450), ale, zdaniem rządu, dostateczna, aby uchwały Sejmu były ważne.

— Postanowiono, żeby wybory do sejmu odbywały się we wszystkich guberniach Cesarstwa i Królestwa Polskiego nie w jednym i tym samym dniu, jak zeszłoroczny ukaz nakazywał, ale w różnych miejscowościach w różne dni, które za każdym razem wyznaczy nowy ukaz Cesarzowski. Dotychczas wyznaczono wybory w 29 guberniach Cesarstwa, w tej liczbie w grodzieńskiej, kowieńskiej, witeb-

skiej i podolskiej, na dzień 8 kwietnia; w 18 guberniach, — w tej liczbie w wileńskiej, mińskiej i wołyńskiej — na 27 kwietnia; w dwóch guberniach — między innymi w kijowskiej — na 5 maja. Kiedy się odbędą wybory w guberniach Królestwa Polskiego, jeszcze niewiadomo.

— Ogłoszono *Najwyższy Manifest* treści następującej:

Ogłaszamy wszystkim Naszym wiernym poddanym. W dniu 19 sierpnia roku zeszłego zapowiedzieliśmy zwołanie Sejmu złożonego z osób wybranych przez ludność i zatwierdziliśmy jego ustawę. Manifestem zaś z dnia 30 października nadaliśmy Sejmowi moc uchwalania praw, a jednocześnie zezwoliliśmy zmienić ustawę Rady państwowej, aby część tej Rady składała się z ludzi wybranych przez ludność. Rozkazaliśmy też, aby poczyniono odpowiednie zmiany w ustawie Sejmu, zgodnie z zasadami, ogłoszonymi w Manifestie dnia 17 (30) października. Pracę tę obecnie ukończono. Do Rady państwowej powołana będzie równa liczba członków mianowanych przez Mnie, i członków wybranych przez ludność, a mianowicie: — przedstawiciele panującej w Rosji cerkwi prawosławnej, przedstawiciele szlachty, ziemstw, oraz kupiectwa i przemysłu. Odnowionej w ten sposób Radzie państwa nadają się te same prawa, co i Sejmowi. Zachowując i nadal zasady, że żadne prawo nie może mieć mocy bez Mojego zatwierdzenia, postanowiliśmy na przyszłość, że od chwili zwołania sejmu i rady państwa żadne prawo nie będzie ważne, dopóki nie będzie uchwalone i przez sejm, i przez radę. Ale w tym czasie, kiedy sejm nie zgromadza się na obrady, rada ministrów może i bez jego przyzwolenia przedstawić Nam nowe uchwalone przez siebie prawo i wyjednać nasze zatwierdzenie, jeśli będzie konieczna potrzeba. Wydane jednak w ten sposób prawo nie może wcale zmieniać zasadniczych praw państwa, ani dotyczyć urzędzenia sejmu i rady państwowej, i ustawy wyboru posłów do nich. Traci ono moc, jeżeli odpowiedni minister w ciągu dwóch miesięcy nie przedstawi tego prawa sejmowi państwowemu, lub też jeżeli i sejm i rada państwowa będą głosowały przeciwko temu prawu.

Rada państwa i sejm corok będą zwoływane i rozpuszczane na mocy ukazów Naszych. Jedna i ta sama osoba nie może być jednocześnie członkiem rady państwowej i sejmu. Rada i sejm mają prawo doradzać zmiany w prawach i znoszenie jednych, a zaprowadzanie drugich, nie dotyczących jednak zasadniczych praw państwa, których zmianę pozostawiamy wyłącznie Sobie. Opracowane przez rząd nowe prawo idzie najpierw do rady państwa i tam jest rozważane, a po uchwaleniu jego przez radę przesyła się do sejmu, aby nad nim i tam radzono i głosowano. Prawo uchwalone przez sejm i radę, przedstawiane Nam będzie do zatwierdzenia. Prawo, nie przyjęte zarówno przez sejm jak i przez radę państwa, uważane jest za odrzucone. Radzie państwowej i sejmowi nadaje się też prawo żądać od ministrów wyjaśnień co do postępów i rozporządzeń ich samych, lub władz im podwładnych, jeśli będzie upatrywana niezgodność z prawem. O sposobie rozważania (w sejmie i w radzie państwa) praw ogólnych dla Cesarstwa i Wielkiego Księstwa Finlandzkiego wydane przez Nas będą wskazówki. Prośbę o błogosławieństwo Boskie dla dzieła wielkiej zmiany w ustroju państwowym drogiej Nam ojczyzny, mamy nadzieję, że wskazane wiernym naszym poddanym sposoby, jak

przez ludzi wybranych mogą, w jedności z Nami brać udział w ustanawianiu praw, doprowadzą do odrodzenia Rossji i zaprowadzenia w niej porządku, spokoju i dobrobytu, a jednocześnie wzmocnią jedność i potęgę państwa.

Na pierwowzorze własną Jego Cesarzowskiej Mości ręką podpisano.

MIKOŁAJ.

Dan w Carskiem-Siole dnia 6 marca 1906 r.

— *D. 11.* Urzędowa gazeta „Russkoje Gosudarstwo” wyjaśnia, że, na mocy ukazu Najwyższego o wolności wiary, udzielanie przez księży katolickich **ślubów i chrztów b. unitom** nie może być uważane za zabronione. — Senat znów polecił, aby w tym roku przy powoływaniu młodych unitów do powinności wojskowej, przyjmowane były od nich w braku metryk, świadectwa o ślubach i chrztach, wydawane przez księży katolickich, i aby zgodnie z tém robiono poprawki w spisach powoływanych do powinności wojskowej.

— *D. 3 marca.* Minister rolnictwa, Kutler, oraz minister przemysłu i handlu, Timirażew, proszą o uwolnienie siebie z urzędów.

— Według wiadomości urzędowych, dnia 19 lutego odpłynął z Japońi do Europy ostatni okręt z jeńcami. Do 2 lutego wróciło z niewoli japońskiej 10 jenerałów, 2 admirałów, 1066 oficerów 50 tysięcy i 330 żołnierzy wojska lądowego, oraz 8 tysięcy i 963 żołnierzy z wojska morskiego.

**Z Syberji.** Wychodząca w Petersburgu gazeta „Nowoje Wremie” donosi, że wojsko rosyjskie na Dalekim Wschodzie było przez półtora miesiąca odcięte od świata, ponieważ poczta, telegraf i droga żelazna były nieczynne. Nie wiadomo tam, co się dzieje w Rosji, w Petersburgu, w Moskwie; dochodziły tylko kłamliwe pogłoski, plotki. Tym sposobem przewrotowcy nabrali wielkiego znaczenia w Czystie, głównem mieście okręgu za jeziorem Bajkałem. Układał się z nimi tamtejszy gubernator, jenerał Chołszczewnikow, i główny dowódca wojsk na dalekim wschodzie, jenerał Liniewicz.

— Jenerał Liniewicz złożył swój urząd; na jego miejsce główne dowództwo nad wojskiem pozostał na dalekim Wschodzie powierzono jenerałowi Grodekowowi.

**Petersburg, d. 9 marca.** Ze składu artylerji w Petersburgu skradziono armatę ważącą 14 pudów. — Jacyś niewykryci dotąd zabójcy zastrelili pomocnika dyrektora wielkich zakładów fabrycznych w Putilowie pod Petersburgiem, inżynjera Nazarowa, a śmiertelnie ranili naczelnika służby parowozowej drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, inżynjera Ruchłowa.

**Oczaków** (miasto nad morzem Czarném, niedaleko ujścia rzeki Dniepru), *d. 6.* Odbył się w Oczakowie sąd wojenny nad oficerem morskim Szmitem, który w listopadzie roku zeszłego, kiedy na paru okrętach wojennych na morzu Czarném powstał bunt, objął nad nimi dowództwo. Okręt jego, krążownik zwany „Oczaków”, został wówczas w bitwie przez inne okręty spalony i zatopiony razem z towarzyszącym mu statkiem buchalowym, a sam Szmit ratując się na łodzi dostał się do niewoli. Sąd wojenny skazał Szmita na karę śmierci przez powieszenie, trzech jego głównych współników na rozstrzelanie, a 20 kilku żołnierzy na ciężkie roboty. Na sędzie Szmit, chociaż chory, trzymał się mocno i brał całą winę na siebie. Bronił go adwokat Wróblewski z Wilna.

**Samara** (miasto gubernjalne nad rzeką Wołgą), *d. 9.* Na stacji kolejowej w mie-



ście Samarze skradziono z pociągu wojskowego 156 karabinów i 7500 nabojów do nich.

**Bobrujsk** (miasto powiatowe i warownia w gubernji mińskiej), *d. 12.* Sąd wojenny w Bobrujsku skazał 13 żołnierzy bataljonu karnego za urządzenie buntu zbrojnego na rozstrzelanie, a 15-tu na ciężkie roboty.

**Z Inflant i Kurlandji.** *Ryga, d. 1 marca.* Pomimo gromadnych aresztów i rozstrzeliwań, spokój w Inflantach i Kurlandji dotychczas nie wrócił. W Rydze prawie codzień zdarzają się napady na policjantów i żołnierzy. W zaprzyszłym tygodniu w jednym domu w samym środku miasta wykryto skład bomb i mnóstwo robiwa wybuchowego. Aby przeszkodzić potajemnemu dowozowi broni morzem, okręty wojenne zatrzymują i przeszukują wszystkie statki, płynące do Rygi.

— W powiecie ryskim kilku uzbrojonych Łotyszów napadło na urząd gminny w Drejlinie, rozbili kasę żelazną i zabrali 15 tysięcy rubli, mnóstwo książeczek paszportowych i pieczęć.

— W okolicy miasta powiatowego Hazenpotu w Kurlandji rozstrzelano *d. 15 lutego* 32 Łotyszów, *17 lutego* tamże powieszono nauczyciela szkoły wiejskiej i rozstrzelano 2 włościan. *20 lutego* w pobliżu miasta Grobina rozstrzelano 8 ludzi i spalono dwie osady włościańskie. *D. 22 lutego* oddział wojska w północnej części powiatu hazenpockiego aresztował 34 włościan, Łotyszów. 5-u z nich rozstrzelano za stawianie oporu. Odebrano 65 rewolwerów. W powiecie frydrychszackim w Kurlandji wojsko spaliło mnóstwo zagród włościańskich, należących do powstańców.

— Wielu przywódców powstania uciekło z Kurlandji i Inflant do Finlandji, w nadziei, że policja tamtejsza nie będzie ich prześladowała.

**Z Finlandji.** *Helzyngfors, d. 3.* W poniedziałek, *26 lutego*, do rossyjskiego banku rządowego w Helzyngforsie wtargnęła banda uzbrojonych ludzi, zabiła stróża i grożąc urzędnikom rewolwerami, zrabowała przeszło pół miliona rubli. Napastnicy umknęli. Zarządzono natychmiast pościg za nimi. Na drugim dniu czterech ujęto na jednej stacji drogi żelaznej w Finlandji i część zrabowanych pieniędzy odebrano. Broniąc się, zabili oni żandarma i ranili policjanta. W parę dni potem w mieście Tamerforsie w Finlandji schwymano jeszcze dwóch rabusiów. Kiedy ich odstawiono do policji, jeden z nich wyjął rewolwer i zabił komisarza i dwóch policjantów, zranił sekretarza policji i dwóch policjantów, a następnie, stanawszy w oknie wychodzącym na rynek, rozbił szybę i miał mowę do ludu, w której prosił o pomoc. Jakoż tłum począł domagać się uwolnienia aresztowanego. Na pomoc policji musiano zawezwać straż ogniową, która sikawkami rozpedziła tłum. Ze schwytanych dotąd sprawców napadu na bank tylko jeden jest Finlandczykiem, a inni są zbiegami z Inflant, Łotysze i Estowie.

**Z Austrii i Węgier.** *Wiedeń, d. 1 marca.* Dnia *22 lutego* główny minister austriacki, Gaucz, przedstawił sejmowi do zatwierdzenia nową ustawę wyborczą, aby każdy obywatel austriacki, który skończył 24 lata, a nie był karany sądownie i przemieszkał przynajmniej rok w jednej i tej samej gminie, miał prawo głosować na posła do sejmu austriackiego w Wiedniu, jak również sam mógł być posłem wybra-

ny. Według tej nowej ustawy, ogólna liczba posłów do sejmu ma się zwiększyć o 30, czyli zamiast 425, jak było dotąd, będzie ich 455. Prawie połowę tej liczby, bo 205, przypaść ma na posłów Niemców, choć ludność niemiecka w Austrii stanowi zaledwo trzecią część ogółu mieszkańców. Posłów od ludności różnych ludów słowiańskich ma być 230. Resztę będą stanowili Włosi i Rumuni. Galicja ma wybierać 88 posłów (dotychczas 78), Czechy zaś, które mają o cały milion mniej mieszkańców niż Galicja, wybierać będą 118 posłów, czyli o 30 posłów więcej niż Galicja. Śląsk, gdzie Polaków mieszka prawie tyluż co Niemców, wysłać ma do sejmu głównego 13 posłów, w tej liczbie aż 8 Niemców, i tylko 3 Polaków, a 2 Czechów. W dodatku Galicja w nowej ustawie została tak sztucznie podzielona na okręgi wyborcze, że Polacy zamiast zyskać na powiększeniu liczby posłów do sejmu, stracą w nim kilkanaście miejsc, które zabiorą im Rusini. To też przedstawiona przez ministra Gaucza ustawa wyborcza wcale nie może liczyć na poparcie ze strony Polaków, których krzywdzi. Niezadowolone są z niej także i inne narody, mieszkające w Austrii, a nawet znaczna część Niemców, którzy uważają, że tego, co im nowa tak dla nich korzystna ustawa daje, jest jeszcze za mało.

*Budapeszt, d. 25 lutego.* We wtorek *19 lutego*, kiedy się zjechał na nowo i zgromadził w swojej izbie sejm węgierski, weszło tam dwóch wyższych oficerów i wręczyło przewodniczącemu pismo królewskie (cesarza Franciszka-Józefa, jako króla Węgier), nakazujące natychmiastowe rozwiązanie sejmu. Jednocześnie jeden z tych oficerów wezwał posłów, aby się zaraz zeszli. Kiedy posłowie nie chcieli się rozchodzić, weszło wojsko. Widząc przemoc, posłowie ustąpili. Kiedy będą rozpisane nowe wybory do sejmu, niewiadomo jeszcze, a tymczasem rządy na Węgrzech objął mianowany przez cesarza-króla Franciszka-Józefa umysłny pełnomocnik, generał Nyjry. Rozpędzenie sejmu przy pomocy wojska sprawiło na Węgrzech wielkie wrażenie, gazety węgierskie upatrują w tym naruszenie prawa, konstytucji i gwałtownie uderzają na rząd. Do zaburzeń jednak z tego powodu nie doszło.

**Z Francji.** *Paryż, d. 1 marca.* W dniu *18 lutego* skończył się siedmioletni czas urzędowania dotychczasowego prezydenta Francji, Lubeta. Wyprowadził się więc on dnia tego z pałacu rządowego, a miejsce jego zajął tam nowoobрани prezydent Faljer.

— *D. 6.* W zeszłą niedzielę przybył do Paryża król angielski Edward. Odwiedził on prezydenta Faljera i miał z nim długą naradę. Wieczorem zaś w pałacu poselstwa angielskiego wydał ucztę, na którą oprócz Faljera zaprosił także ministrów i innych dostojników francuskich.

— *D. 13 marca.* W kopalniach węgla kamiennego w miejscowości zwanj Kurjery (Courrières) na północy Francji nastąpiło w sobotę *10 marca* straszne nieszczęście. Zrana, kiedy przy pracy w kopalni było około 1800 górników, wszczął się tam z niewyjaśnionej dotąd przyczyny pożar. Płomienie rozeszły się tak szybko i gwałtownie, że wkrótce cała kopalnia stanęła w ogniu. (Pożarom kopalni węgla sprzyjają, jak wiadomo, uloty podziemne, które zapalają się przy lada zetknięciu z ogniem,

a gdy nagromadzi się ich dużo, to ze straszną siłą wybuchają.) Z 1800 ludzi, a niektórzy mówią, że było ich w kopalni znacznie więcej, bo zgorą 2000, zaledwo około 600, i to po większej części mocno popalanych, zdolano uratować. Około zaś 1200 ludzi, a może i więcej, zapewne zginęło w podziemiach. Bywało wiele nieszczęść okropnych w kopalniach i setki ludzi nieraz w nich ginęły, ale tak strasznego wypadku, żeby aż tysiące tam naraz traciły życie, nie było jeszcze podobno nigdy, — to pierwszy. Kopalnie zaś w Kurjerach sływały, jako wzorowo urządzone, i lepiej zabezpieczone od innych. Na miejsce wydarzenia przybyło z Paryża dwóch ministrów. W całej Francji zarządzono składki na rzecz wdów i sierot, których po nieszczęśliwych górnikach aż 5 tysięcy pozostało.

**Z Włoch.** *Rzym, d. 10.* W miasteczku Fuczekju niedaleko od miasta Florencji odbywała się zeszłej niedzieli w jednym domu zabawa taneczna. Wtém w przyległym budynku wszczął się pożar. Zatańczeni nieprędko o tém się dowiedzieli, a gdy ogień spostrzegli, już się palily schody i nie mieli którądy uciekać. Rzucili się do okien. Ale na nieszczęście okna były zaopatrzone w mocne kraty żelazne jak w więzieniu. Tymczasem pożar szerzył się z nadzwyczajną szybkością. Nim straż ogniowa nadbiegła, całe towarzystwo, 19 osób, spaliło się. Sprawcami pożaru okazali się trzej parobcy, którzy położywszy się w sąsiedniej szopie na słomie palili fajki. Oni też sami spalili się wszyscy.

**Ze Szwecji.** *Sztokholm, d. 6.* Koło brzegów Norwegji, w pobliżu miasteczka Haugezundu rozbił się i zatonał podczas strasnej burzy na morzu w dniu *2 marca* okręt szwedzki „Tor”. Z 37 ludzi, którzy się na nim znajdowali, uratowało się tylko dwóch.

**Z Ameryki Północnej.** Niedaleko od zachodniego brzegu Kanady (ogromnej krajiny na północy Stanów Zjednoczonych), na oceanie Wielkim, okręt niemiecki „Serwja” natknął się na pływające buchadło, zaniezione widocznie aż tam przez prąd morski z pod Władystoku lub Portu Artura. Skutkiem wybuchu okręt wnet zatonał. Zginęło około stu ludzi.

**Z wysp Filipińskich w Azji.** *Manila, d. 12.* Na wyspie Mindanao, gdzie krajowcy do tej pory nie chcą uznać nad sobą rządów amerykańskich, doszło niedawno pomiędzy nimi a wojskiem amerykańskim do krwawej bitwy. W bitwie tej Amerykanie utracili 18 żołnierzy zabitych i 52 rannych. Krajowców jakoby legło 600. Sześć już lat Filipińczycy z Amerykanami walczą.

### Ceny w Warszawie.

Targ na Pradze przy stacji kolei Terespolskiej.  
14 marca 1906 r.

Cena puda (40 f.) przy kupnie całemi wagonami.

Pszenica (żądano) od 96 k. do 1 r. — k.

Zyto (płacono) od 72 k. do 73 k.

Owies (płacono) od 75 k. do—r. 98 k.

Jęczmień na kasę (płacono) od 76 k. do 82 k.

Jęczmień browarny (żądano) od 85 k. do 90 k.

Gryka (płacono) od—r. 86 k. do—r. 94 k.

Kasza jaglana (płacono) od 1 r. 10 k. do 1 r. 35 k.

Kasza gryczana (płacono) od 1 r. 48 k. do 1 r. 50 k.

Groch wazelnny (płacono) od 1 r. 10 k. do 1 r. 20 k.

Groch „Wiktorja” (żądano) od 1 r. 40 k. do 1 r. 50 k.